



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł -- 8 stron

Warszawa, 7 marca 1954 r.

Nr 10 (206) Rok V

W pierwszą rocznicę śmierci Józefa Stalina

ODLECIAŁ ORZEŁ...

Odleciał orzeł górski, syn szczytów wysokich
Gruzji, z dawna płonącej pochodni wolności.
Zmieszajcie kir żałoby z czerwieni potokiem,
Flag schylonych łopotem wieść tę światu głoście.

Wszędzie był pośród krzywdy, gdzie bunt i cierpienie,
Wszędzie, gdzie pod uciskiem kark niewolny broczył,
Gdzie krzyk o chleb, o światło, o ojczystą ziemię,
Gdzie wojna sprawiedliwa i gdzie trud roboczy,

Gdzie pieśń prawdę głosząca, gdzie miasta powstają,
Z martwych wzniesione ludzkich rąk powszednim znojem,
Gdzie jęk trałowanego przez najeźdźcę kraju,
Był, wołał — „przerwać ogień!” — chorąży pokoju.

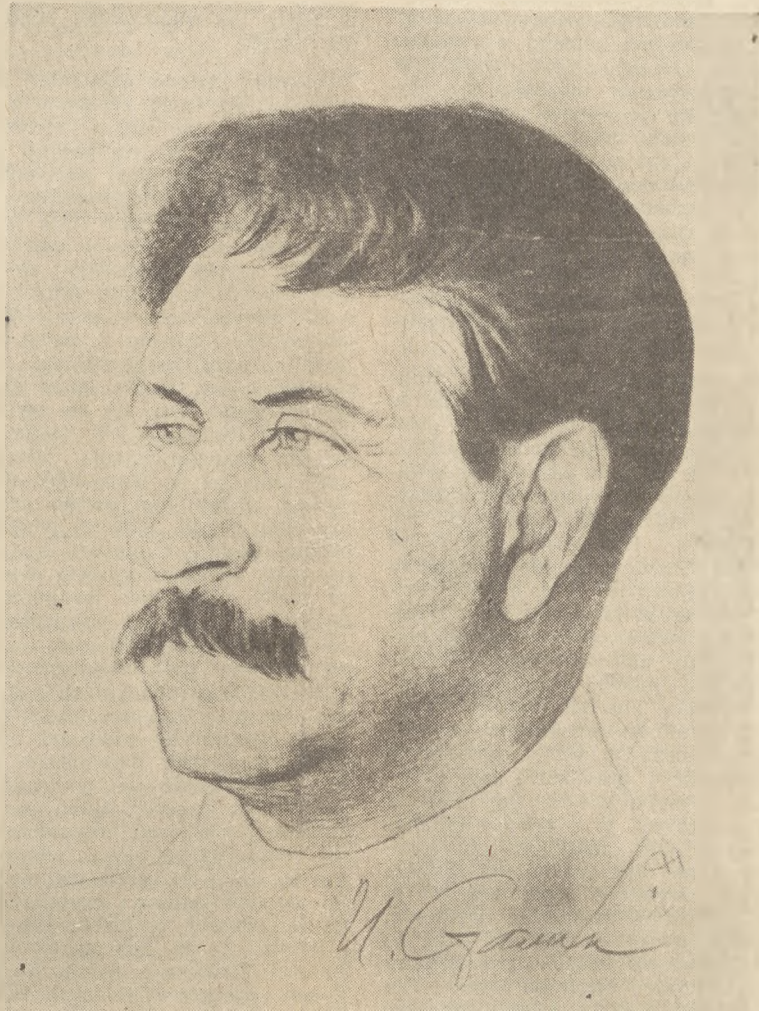
Odleciał orzeł górski, syn szczytów wysokich
Gruzji, z dawna płonącej pochodni wolności.
Zmieszajmy kir żałoby z czerwini potokiem,
Flag schylonych łopotem wieść tę światu głośmy.

POŻEGNANIE WARSZAWY

Przerwany puls, zaległa cisza
I krew stanęła w żyłach miasta.
Milczenie tylko, które słyszysz
Jak pod niebieski strop wyrasta.

Zmilkły turkoty i dzwonienia,
Zastył na szynach rząd tramwajów,
Wszelki nad jezdnią mur oniemiał,
Onieśmielony człowiek staje —

Tylko przetwarza się na wietrze
Obłoku zmienny kształt pod słońcem,
Tylko armaty drą powietrze
I lament syren brzmi bez końca,



Rys. W. Andrejew (1922)

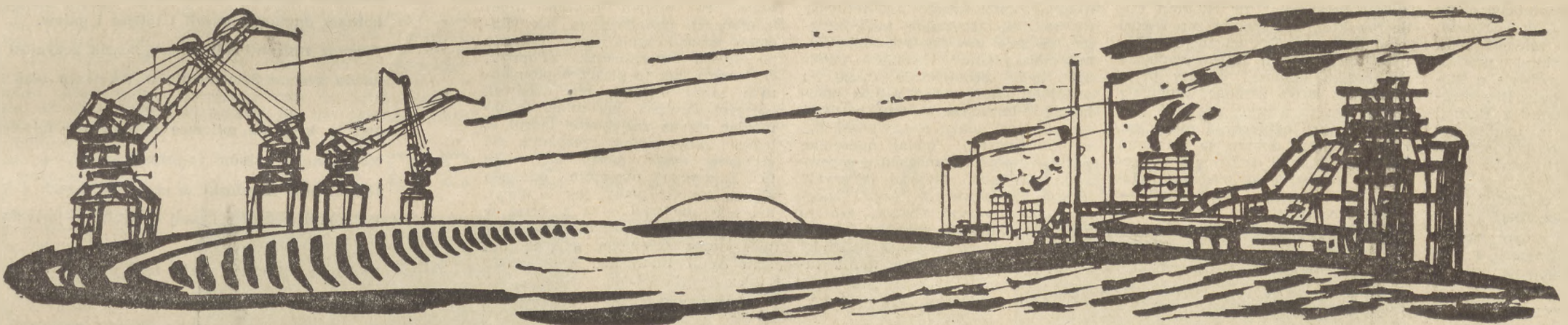
WIOSNA IDZIE

Już promień słęga mego pióra,
czas skończyć wiersz ostatni.
Pchnąwszy okno, zacerpnę tylko łyk błękitu,
by go wam sprzedać.
Oto ogród — moja przewodnia topola,
ziemia miękka i wonna,
niebo, które za chwilę będzie majowe.
Wiosna idzie — otwierajcie ramiona.
Kiedy umiera człowiek wielki
szczęście ziemi zostawia w testamencie żyjącym.
On nas uczył trzymać kielnię i kilof,
by życie nasze było lepsze.
On nas uczył wyważać bramy i wykuwać drogi,
byśmy szerszej postępowali ku wolności.
On nas uczył myśli mądrej i prawej,
aby szrapnele nie rozrywały więcej ludzkiego ciała.
Jego grób nie przytłacza.
Śmierć to, która nie zamąci ładu,
ani szyki pomiesza.
Zwarcie celem odpowiadamy ze wszystkich łądów —
pokój i praca!
Oto dwakroć ciśniej zwierają się ręce na kielniach i kilofach,
by życie nasze było lepsze.
Będziemy stale wyważać bramy i wykuwać drogi,
byśmy szerszej postępowali ku wolności.
Będziemy służyć myśli mądrej i prawej,
aby szrapnele nie rozrywały więcej ludzkiego ciała.

Poeta piórem co z promienia pije
pieśń zapali na nutę najwyższą.
Ona unerwi szyki
rytmem, myślą i dźwiękiem.
Pieśń — karmiąca serca bohaterów,
pieśń — pokonująca twarde etapy walki,
pieśń — piastunka niemowląt,
pieśń — dobroczynna

poprowadzi aż tam,
gdzie czujność
pełni już tylko w ciszy swą wartę,
a urasta spokojny szelest gołębiego lotu
między szafirem a zielenią.

Stanisława Sznaper-Zakrzewska



Rys. Jan Lenka

Przeciw naturalizmowi w prozie

HENRYK BEREZA

W recenzjach i artykułach krytycznych nierzadko spotkać się można z diagnozami krytycznymi o obciążeniach naturalistycznych naszej prozy współczesnej. Pisarze robią przy takich diagnozach najczęściej tzw. wielkie oczy, oburzają się na „nieodpowiedzialność” krytyków, smarują sążniste listy do działów korespondencji pism literackich, uspokajają w ten sposób swój twórczy niepokój i grzeczna w naturalizmie po uszy, bo swoisty naturalizm to rzeczywiście plaga prozy, pretendującej jakże często do miana prozy realizmu socjalistycznego. W swym świętym oburzeniu pisarze mają o tyle rację, że naturalizm ich metody twórczej w założeniu nie ma nic wspólnego z naturalizmem światowym, konsekwentnym, filozoficznym. Nazwałbym go naturalizmem mimowolnym, aczkolwiek przy wnikliwej analizie daloby się w prozie najnowszej wykryć i inne jego rodzaje, z których naturalizm naiwny (później wyjaśnię, co chrzczę tym terminem) wydaje mi się zjawiskiem w jakiejś mierze historycznie usprawiedliwionym.

Dokumentalność, burżuazyjny „obiektywizm”, pozytywistyczny empiryzm — to najistotniejsze znamię klasycznej metody naturalistycznej (patrz artykuł Burowa „Estetyka marksistowsko-leninowska przeciwko naturalizmowi w sztuce” — „Myśl Współczesna” r. 1950 z. 10), przeciwstawnej meandrze ideowej i partyjnej sztuki socjalistycznej, nie uchylającej się od interpretacji i oceny zjawisk rzeczywistości. Na pozór naturalizm, wypływający z osądzenia i komentowania zjawisk życia wydaje się niebezpieczeństwem najmniej groźnym w naszej literaturze. Pisarze nasi z łatwością oceniają i w sposób nie nasuwający przynajmniej im samym żadnych wątpli-

wości komentują zjawiska życia, nierzadko wiedząc o nich czerpiąc ze skwapliwej lektury aktualnej publicystyki.

Wbrew pozorom pisarze nasi wcale nie wdrażają się w zjawiska życia. To tłumaczy wzgardliwe wzruszanie ramionami pisarzy przy osądzeniach o naturalizm. Tworzę obraz rzeczywistości z natchnienia ostatniego rozporządzenia takiego to a takiego resortu — myśli sobie w duchu pisarz — w spółdzielni produkcyjnej byłem jedynie przez dwa tygodnie, o chłopach mam zielone pojęcie, to co piszę nie ma nic wspólnego z życiem co najmniej na naszej planecie i w tym wszystkim dopatrują się w dodatku naturalizmu. Co by to było, gdybym to i owo naprawdę w życiu przyuważył — pociesza się zgnębiony twórca, choć na wszelki wypadek rozważa ewentualność wynalezienia jakiegoś faktu wprost z życia. Mówiąc bez satyrycznej przesady przy pozornym antynaturalizmie założeń pisarskich, prozie naszej grozi z konieczności naturalizm, wynikający z powierzchownej albo z żadnej wiedzy o człowieku i życiu. Jeśli się o życiu w Polsce wie jedynie tyle, że rząd i partia organizują nowe stosunki społeczne i ludzie się przy tym zmieniają a chce się z tą elementarną wiedzą napisać powieść o współczesności, trzeba wszystkie brakujące elementy niezbędnej wiedzy o człowieku i świecie wypełnić płodami wyobraźni i elementarnej albo powierzchownej obserwacji. Dowiadujemy się wtedy z powieści, że w zimie jest zimno, a w lecie jest gorąco, że ludzie w dzień pracują a w nocy śpią, że chłopci śpią na łóż-

kach a inteligencja woli tapczany, że architekci robią plany, a murarze według tych planów budują domy.

Pożytki z takiej metody są najrozmaitsze. W ciągu roku można napisać pięć powieści i zapisać nimi wszystkie wydawnictwa, można osiągnąć absolutną typowość i uchronić się od wątpliwości wydawców i krytyków, można wreszcie przedstawiać „najszczerszą prawdę życia” i osiągnąć miano realisty socjalistycznego a w duchu dodawać z dumą „inżyniera ludzkich dusz”. Jadowite opisywactwo naturalistyczne, użytkowujące przyrodzoną a w najlepszym razie powierzchownie zaobserwowaną wiedzę o świecie to ponury rezultat niefrasobliwości twórczej naszych prozaików. Nie sposób tu dawać przykłady. Wymieniłoby się przykładów pięć a trzeba by dziesiątki. Sensowniej byłoby wymienić te pozycje prozatorskie, w których tego typu schorzenie jest nie do wykrycia. Przejawów tego schorzenia znaleźć można bardzo wiele. Przeżera ono niejednokrotnie najsobotniejsze tkanki utworu literackiego.

Jakże często pisarze zamiast z mora oczywiście rzeczywistych obserwacji wybrać to, co istotne, wydobyc jedyny znaczący rys opisywanego przedmiotu postaci, sytuacji, gubią się w przedstawianiu dla zamierzonego efektu artystycznego zbędnych właściwości tych przedmiotów, postaci, sytuacji, wprowadzając naturalistycznie pełny ich obraz. Jeden z pisarzy w świeżo wydanej książce dla pokazania zdrady politycznych potentatów PPS-u w roku 1919 postanawia przedstawić zebranie Rady

Delegatów Robotniczych w jednej miejscowości. Dla tego celu pisze ogromne przemówienie pepesowskiego ministra, przytacza wszystkie wyzwiśka, którymi obsypano go na zebraniu, nie pomija żadnego kichnięcia na sali, nie zapomina, że „w piecyku trząskał trawiony szybko płomieniami węgla”. W rezultacie cały rozdział powieści roztopiony w zbędnych szczegółach sytuacyjnych jest absolutnie nieczytelny dla człowieka nie zmuszonego do lektury jakakolwiek konieczności. Jeden trafnie wybrany i przemysłany epizod mógłby sprawę zarysować wyraziście ale wtedy nie napisaloby się arkuszowego rozdziału powieści.

Niektórzy pisarze biorą sobie za punkt honoru informowanie czytelników o tym, o czym wszyscy wiedzą. Szczególnie pisarze, wyjeżdżający na miesiąc w teren dla napisania powieści o życiu mas ludowych, uważają dokładne informowanie o egzystencyjnych dla nich warunkach bytowania za swój święty obowiązek. A tymczasem pisarz realista winien wiedzę o świecie przypisywać także czytelnikowi. Jego obowiązkiem jest nie tyle opisywać rzeczy w ich pospolitej powszedności, co odkrywać czytelnikowi nowe ich widzenie, wynikające z głębszego pojmowania ich istoty i wzajemnych powiązań. Lew Tolstoj nie szańbił się ani jednym opisem, który by nie zaskakiwał odkrywczością skojarzeń, jakimś głębszym widzeniem tego, na co się codziennie patrzy a nie dostrzega jego właściwości najistotniejszych. Zadziwiająco „drobiazgowo” opisy w prozie autora „Buddenbrooków” i „Czarodziej-

skiej góry” nie są naturalistyczne, bo Tomasz Mann ma niezwykły dar oświećcia szczegółów w ich najznamienniejszych związkach z życiem ludzkim. Szolochow nie przedstawia niczego, co by nie ukazywało urody, śmieszności, tragizmu, piękna lub zastanawiającej dziwności rzeczy ludzkich. Widzenie świata, które daje pisarz, musi być odkrywcze, musi wdrażać się w istotę zjawisk, bo rzeczywistość, którą odzwierciedla sztuka, składa się — że użyję tu sformułowania Lukacsa — „nie tylko z bezpośrednio odczuwanej zewnętrznej strony świata otaczającego, nie tylko z przypadkowych, chwilowych zjawisk” a estetyka marksistowska zwalcza każdy kierunek „zadowolający się fotograficznym odtworzeniem powierzchowności życia, dostępnego dla bezpośredniego spostrzeżenia”. Gdy Nalkowska w obraz doznań Agaty Wysokolskiej w „Węzłach życia” włączy passus o języku, w paru zdaniach zamknie całą filozofię języka, zmusi do zaskakującego odczucia cudownej władzy mowy ludzkiej, pozwoli głębiej zrozumieć jej istotę. „Powoli, opornie, jednak cała rzeczywistość daje się nazwać i rzec, daje się nazwać nawet życie i śmierć. Niestłuchany fenomen świadomości, uwieczniona w doznaniu i myśli, wydana w głosie i jego przemysłnych drganiach rzeczywistość trwająca, tocząca się w bezliku przemian, stawań i ziszczeń — to wszystko jest uchwycone i nazwane, tego wszystkiego nieustająca przemienność i przelewność jest powiedziana w podmiocie, orzeczeniu w przypadkach i koniugacjach”. Czy nasi prozaicy zawsze usiłują nam w taki właściwy pięknej sztuce

pisania sposób odsłonić urodę naszej rzeczywistości, czy zawsze starają się uchwycić istotę zjawisk życia społecznego, czy zawsze w jak najoszczędniejszy sposób pragną odkrywać rozległe dziedziny życia? Ambicji takich nie dowodzą w naszych książkach ani odautorskie opisy, ani pisane w m wie pozor- nie zależnej refleksje bohaterów, ani komentarze, ani obrazy ludzkich losów, ani postacie, ani zdarzenia.

Nasi pisarze obwieszają z powagą hebrajskich proroków, że krowa daje mleko a traktor ciągnie plugi, że Maciej łowi ryby a Bartłomiej sprzedaje grzebień. Odkrywczość w ukazywaniu i rozwiązywaniu konfliktów człowieka — całokształtu stosunków społecznych zamienia się w odkrywczość w wynajdywaniu egzotyczniejszych środowisk produkcyjnych. Jak gdyby w człowieku najistotniejsze było to, co różni go od rybaka, architekta od buchaltera. Jak gdyby po powieści o fabryce bombek choinkowych wystarczało zwiędzić biur zrzeczenia adwokatów, by napisać nową powieść. Istota mimowolnego naturalizmu naszej prozy współczesnej tkwi w braku zainteresowania pisarzy dla życia człowieka oczywiście społecznego nie biologicznego, tkwi — w przeciwstawieniu do dokumentalnego pozornej obiektywistycznej uogólniania tego, co indywidualne i przypadkowe — w klasycznym naturalizmie, w uogólnianiu tego, co dowolne, zewnętrzne, nieistotne. Jest to chyba jeszcze niebezpieczniejsza forma naturalizmu. Pisarz chwytą drogą naukowej analizy i oczywiście nie przez siebie wykrytą prawidłowość w rozwoju życia społecznego i prawidłowość tę ilustruje z pomocą dowolnej, powierzchownej i niecharakterystycznej materii obrazowej. Raz będzie to obraz sfery produkcyjnej działalności człowieka, raz sfery życia prywatnego, czasem

(Dokończenie na str. 6)

STANISŁAW WYGODZKI NA ZJAZD PARTII

Wleu z nas padło w boju,
wielu poległo przed celem.
Dla Was są strofy moje —
towarzysze i przyjaciele.

Ale nie tylko dla Was —
w marszu, z żywymi, codziennie
moja pieśń, jak chorągiew krwawa,
rozwinięta w pochodzie.

Razem — uparta w szeregach Partii
wytrwa w boju klasowym.
O siłę klasy, o moc jej wsparty
nowe odkryję słowa.

Niech wiernie służą ojczyźnie mojej
jak młot, jak oskard, jak kilof
w porze budowy i w czasie boju
o Polskę, jakiej nie było.

Kronika Tygodnia

RÓŻNE są formy popularyzowania muzyki. Radio nasze nadaje aż trzy cykle pogadek umuzykających; bardzo sobie owe audycje cenię, zwłaszcza te, które prowadzi Waldorff. Wydaje mi się jednak, że najlepszą formą upowszechnienia muzyki jest jej częste słuchanie, a z tym niestety sprzęta przedstawia się u nas znacznie gorzej...

Nie mówię już o Filharmonii Warszawskiej, która, tulając się na razie po cudzych śmieciach, nie jest w stanie pomieścić wszystkich miłośników Szopena i Brahmsa. Na to chwilowo nie ma rady. Ale to samo Radio, które z zapalem muzykarnia poprzez pogadanki, jakże szczupłego miejsca udziela w swoich programach muzyce poważnej! Dysponując świetnymi nagraniami arcydzieł muzycznych, Ra'o nasze, nie wiadomo czemu, strzeże ich zazdrośnie przed uchem stęsknionego słuchacza, chowa je pod korem, od wielkiego święta jedynie powierzając je falom eteru.

A już całkiem źle z tymi, którzy posiadają adapter, pragną skompletować własną płytotekę. W naszych pięknych sklepach muzycznych — jest taki wzorcowy sklep na Nowym Świecie, z palmami: wewnątrz — można zakupić dwa tuziny płyt z ostatnimi przebojami Cajmera, ale spytając o którąś z nich słynną sonatę Beethovowską... Sprowadzamy z Francji bardzo drogie płyty z nagraniami Szopenowskimi o nieco gorszymi od naszych, a nie importujemy z NRD czy Czechosłowacji świetnych albumów Bachowskich, dlaczego? Kto mi wytłumaczy tę zagadkę?

Z zazdrością wspominam zawsze Pragę; Wacławskie Namesti z jego pasażami rozbrzmiewającymi od ra-

na do nocy cudowną muzyką, prześliczny ten plac, nad którym bez przerwy hulają koncerty. W jednym z tych pasaży na Wacławskim Placu mieści się instytucja o dziwacznej nieco nazwie „teatr muzyki”. Jest to po prostu miła, nieduża salka z wygodnymi fotelami, gdzie dwa razy dziennie posłuchać można koncertu z płyt. Koncerty takie poprzedza zazwyczaj prelekcja, wprowadzenie, wstęp, odczytywany przez aktorów. Nie posiadamy tak rozbudowanego przemysłu gramofonowego jak Czechosłowacja, ale czy nie należałoby i u nas pomyśleć o utworzeniu podobnych placówek jak praski teatr muzyki?

Skoro się już rozpisaliśmy na temat szerzenia kultury muzycznej, to warto wspomnieć o zapoczątkowanej przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne serii „małych monografií wielkich kompozytorów”. W przedmowie do pierwszego tomu, poświęconego Beethovenowi, redakcja zapowiada, że „cykl ten przeznaczony jest dla tych wszystkich, którzy kochając muzykę i interesując się nią, choć pozostając częstokroć z dala od zagadnień ściśle zawodowych, wypełniają dziś nasze opery i sale koncertowe”.

Niestety pozycja, otwierająca cykl, „Beethoven” dr Stefania Łobaczewskiej, nie spełnia zapowiedzi wydawnictwa. Ta uciążliwa, nudna, bezbarwnym stylem napisana książeczka, stanowi niestety przykład, jak łatwo zarząć wspaniały temat. Śmiałem wątpić, czy trafi ona do masowego odbiorcy. I nie wiem, czy to źle, czy dobrze, że jedynymi ludźmi piszącymi dziś u nas interesującą o muzyce są nie muzykologowie, lecz pisarze... Egzemplum — Iwaszkiewicza księżka o Bachu, czy Broszkiewicza o Szopenie. Chyba jednak źle...

Krzysztof Gruszczyński

Szanowny Towarzyszu Redaktorze!

O tym, jak umarł Tuwim, jak Polska zereagowała na jego śmierć dowiaduję się siłą rzeczy tylko z prasy. Dlatego wielokrotnie czytam każdy artykuł i każde wspomnienie w polskich gazetach i czasopismach, gorączkowo rzucając się na każdą przyniesioną z poczty paczkę. Z kolei przeczytałam i „Spóźnioną gałązkę bzu”.

Dowiedziałam się z niej wielu rzeczy. Tylko nie o Tuwimie, choć artykuł powstał w związku z jego śmiercią.

Dowiedziałam się, że dzięki brzydkiej pogodzie Adolf Rudnicki przez cały grudzień „czuł się o krok od grobu”. Dowiedziałam się, że na śmierć Gałczyńskiego środowisko literackie zareagowało głównie wzmnożoną troską o własne zdrowie (śmiem zresztą wątpić w prawdziwość tej informacji). Dowiedziałam się ważnej rzeczy, że Rudnicki nosi beret (co zresztą zauważyłam już dawno) i że jest to bardzo niewygodne nakrycie głowy w wypadku śnieżyicy. Dowiedziałam się także, że „Zakopane śmierć poety przyjęło martwo”, że nie było tam „ludzi wzruszonych”. „Do trumny podchodzili t y l k o z zaciekawieniem” (podkreślenie nie moje).

Nie wierzę. Może być, że Rudnicki nie był wzruszony. Ze w dalszym ciągu po tej drugiej stracie, która dotknęła polską poezję, trwał „w niepokojącym oczekiwaniu” obserwując procesy zachodzące we własnym organizmie. Ja nie widziałam Zakopanego w chwili śmierci Tuwima. Ale widziałam nabiłą publicznością salę w Związku Pisarzy w Moskwie, — o tysiące kilometrów od Zakopanego płakali ludzie dalecy, ludzie innej narodowości, ludzie, z których większość znała Tuwima tylko z kienkich (niestety) przekładów. A jednak znaleźli w sobie prawdziwe wzruszenie i prawdziwe łzy, i poczuł w sercu prawdziwą żalobę z tej przyczyny, że o tysiące kilometrów od nich umarł prawdziwy poeta. A w Zakopanem, w Polsce, Polacy znaleźli w sobie t y l k o, jak starannie poukreśla Rudnicki, zaciekawienie? Bardzo się boję, że swoje własne uczucia przekłada tu autor lekką ręką na ogół. Nie wierzę, nieprawda, żeby mogli stać i gapić się obojętnie na trumnę, w której zastygła pieśń i płomień. Ludzie mówiący językiem, z którego ten umarły wyczerował takie barwy i dźwięki, jak mało kto przed nim. Ludzie żyjący w kraju, który ten umarły kochał namiętną, gwałtowną, zachłystującą się miłością. I śmiem także wątpić, że „nie wszyscy wiedzieli, komu oddają hold”. Nazwisko Tuwima było dostatecznie znane i przedtem, kiedy książka była rzadkością i luksusem — tym bardziej musiało być znane teraz. I właśnie w Zakopanem, małej miejscinie, gdzie Tuwima „samochód... w pewnych punktach... sterczał jak sztyd” każdy, kto nawet nie czytał wierszy poety musiał słyszeć, kto to taki. Tuwim był zbyt niezwykle, zbyt odbijał od ogólnego tła, żeby mógł przechodzić i żyć wśród lu-

dzi niezauważony, żeby najobojętniejszy nie zwrócił na niego uwagi. Drugocący argument, że „pan Orkisz, który na gruncie zakopiańskim zajmował się pogrzebem mówił do końca: Tuwim” weale mnie nie zdruzgotał. Nie wiem, jakie jest wykształcenie pana Orkisz i poprawność jego języka, ale nie mógł nie wiedzieć, czym pogrzebem się zajmuje.

Ale okazuje się, że wszystko nie jest takie ważne. I obawa o własne cenne zdrowie, i mały traktat na temat beretu, i omyłki pana Orkisz, i obojętność, i analfabetyzm zakopiańskiej publiczności były potrzebne tylko jako przygotowanie, wstęp do wyznania, że to właśnie Rudnicki nie wiedział, kim był Tuwim. „27 grudnia 1953 roku ja także nie wiedziałem, kogo utraciliśmy”.

Pięknie. „Młode ośnienie” Rudnickiego „nie było związane z Tuwimem”. To mu wolno. Można go tylko żałować, że nie przeżył tego, co było udziałem jego pokolenia — właśnie ośnienia wspaniałością poezji Tuwima. Że jego życie było o tyle uboższe. Ale... co nas to w gruncie rzeczy obchodzi? Co nas obchodzi, że czytelnik Adolf Rudnicki odnajdywał w poezji Tuwima „stałe uderzanie w pedał, krzykliwość, brak niuansowości, prostactwo uczuć, nawet język mi się nie podobał”. Czy to, że czytelnik Tuwima Rudnicki jest także niezwykle utalentowanym literatem upoważnia go do tego, żeby ofiarowywać czytelnikom swego artykułu takie swoje, własne, prywatne, niezbyt piękne i niezbyt na miejscu nad świeżym grobem wielkiego poety przeżycia? Rudnicki widział sam to czuje, i pośpiesznie usiłuje się usprawiedliwić: „moje młode serce było nietolerancyjne... o szalonych wymaganiach”. „Gatunek sławy Tuwima... pieniądzą... wręcz odstręczały mnie od niego”. Owszem, o tych pieniądząch pisał sam Tuwim, ale nie pod adresem „plamiennych serc”, tylko pod adresem „strasznych mieszczań”, i ten adres był na pewno właściwy... Ale po co te wszystkie wyrzuty? Po to, żeby ogłosić czytelnika radosną wieścią o historycznej doniosłości, że w trzy tygodnie po śmierci Tuwima Adolf Rudnicki jeszcze raz przeczytał jego wiersze, i po raz pierwszy zrozumiał je, ocenił, zrozumiał kogoś umarłego i kim był Tuwim. I pośpiesznie niesie te „spóźnioną gałązkę bzu” na świeżą mogiłę Tuwima.

Ale ta „spóźniona gałązka” pachnie nie tyle lilijowym wiosennym bżem, co białym dzikim bżem (sambucus), posiadającym jak wiadomo aromat zgoła inny. Pachnie po prostu autoreklamą. Popatrzy, czytelniku, jak to pisarz o plamiennym sercu osądzał, nie uznawał, odrzucał Tuwima, jak mimo to, narażając się na zaniebienie biegał w berecie żeby znaleźć rzeźbiarza dla zrobienia maski pośmiertnej. Jak to Zakopane obojętnie odniosło się do śmierci poety, jak to Tuwima nikt nie znał — a przecież w końcu uznał go, ocenił, publicznie niesie mu spóźnioną gałązkę bzu sam Adolf Rudnicki...

WANDA WASILEWSKA

Do redakcji „Nowej Kultury”

Nie mam pretensji do Rudnickiego. Takie rzeczy można pisać w pamiętnikach, które może kiedyś będzie ktoś drukował, ale na razie chowa się je do szuflady i zamyka na klucz. Mam pretensję do „Nowej Kultury”. Autoreklama jest zawsze nieprzyjemna. Tym bardziej autoreklama cudzym kosztem. Tym bardziej autoreklama nad trumną. I jeszcze nad taką trumną.

Egzaltacja? Przeczuwanie? Ale tu, o tysiące kilometrów od grobu Tuwima ludzie innej narodowości, innego kraju, Rosjanie, Ukraińcy mówili ze mną w te dni sciszonym głosem, z twarzami pełnymi powagi, dla nich nie było wątpliwości, że cała Polska i każdy, kto się z nią czuje związany, przeżywa głęboką żalobę. Że inaczej być nie może. Radzieckim pisarzom na wieczorach poświęconych pamięci Tuwima wzruszenie tamowało głos, wydobywali z pamięci przedwojenne i powojenne spotkania z Tuwimem jako coś drogiego, coś cennego, co wzbogaciło ich życie. Mówili o nim z miłością, z czułością, jak o bliskim, drogim człowieku. Czy rzeczywiście Zakopane nie znalazło w sobie łez wobec straty, nad którą płakały Moskwa i Kijów? Czy rzeczywiście Polska jest krajem ludzi obojętnych, którzy nie umieją cenić i kochać najlepszych wspomnień siebie tylko dlatego, że to rodak, swój, że się z plo-

tek i anegdot zna jego „styl życia”, jaki komuś może się podobać, a komuś nie podobać?

Nie, nie mam pretensji do Rudnickiego. Pisarz jest osobą najmniej kompetentną dla sadzenia, co z jego utworów należy drukować, a co nie. Mam gorzką pretensję do redakcji „Nowej Kultury”, że zamieściła tę gałązkę, która nie jest ani kwiatem pamięci na mogile wielkiego poety, ani gałązką lauru zdobiącą autora artykułu. Kiedy to można by wydrukować? Za rok? Chyba nie. Za pięć lat? Może. Za dwadzieścia? Na pewno. I wydrukować nie w tomie „O Tuwimie” ale w tomie „O Rudnickim”. Pewien takt i pewne reguły zachowania obowiązują w domu, w którym leży umarły, nawet całkowicie nieznanymi i obojętnymi. Ateusz wchodząc do kościoła zdejmując kapelusz, żeby nie obrażać cudzych uczuć. Tutaj beret został zdjęty już po wyjściu z kościoła, i to, wbrew pozorom, tylko przed samym sobą.

A pod czym adresem zgłaszać pretensje za okaleczenie i zdeformowanie w tekście artykułu cytaty z wiersza Tuwima — pod adresem Rudnickiego, korektora czy redaktora — czy też wszystkich razem, pozostawiam do Waszego uznania.

Z serdecznym pozdrowieniem
Wanda Wasilewska

JAN WYKA

WSPOMNIENIA Z UKRAINY

Szumiał przyjaźnie, huczał Dniepr w stepach ukryty,
gdy daria dzikie pęta chłopska, harda dłoń.
Wir porohów dniewprowych głęboki, niesłyty
tańczył jak kozak młody podskokiem przez toń.

Chmelnicki, konia wspiąwszy, ciał wiek siedemnasty.
Szlachta kolana gęła. Szumiał Dniestr i wicher,
a w piersiach biedniackich bunt niespełniony zastygł,
to pożarem się wzbijał, to w kurhanach cichł.

Bohuna twarz wryta, Krzywonosa ogień
rzuciły na nas oddech rozpalonych dni.
Dla dziecka kamień celny w pańskie okno wrogle
jak przelot kuli w gąszczach nadzieją się tili.

Nucyli te byliny zaleszczyckie jary,
kobzarz dumkami budził i miłość i gniew.
Poprzez Dniestr, rzekę starą, kozak przyniósł stary
młode wiersze Szewczenki, w wierszach bunt i śpiew.

Jak tu kryć się milcząc w zaułkach miasteczka?
Nuż konnica zaludni rozłożystą błon?
Huczał step ukraiński w czujnych uszach dziecka
i chłopka w krajce krasej — walczył — mówiła doń,

Rodzinną Ukraino, matko mej młodości!
uczyłaś mnie odwagi, hartowałaś skroń.
Bór szeleścił jak książki i szeptał: czas dojść cił
bierz pieśń i ból tej ziemi na drogę jak broń.

Po wielekroć pomocna dłoń twa pracowita
zdzierala karty zwiędłe z pańszczyźnianych ksiąg.
Chłop i góral spod Karpat wystrząłem cię witał,
biskup i magnat pyszny toporu się zląkł.

Kruszył się wiek po wieku szlachty naszej zabór
i szedł wiew swobód pierwszych łęgami wzdłuż rzek,
po chatach polskich głosił wolność skutym rabom,
wiatr, ciepły wicher stepów tabunami biegał.

Znów słyszałem ten tętent: dwudziesty rok przyszedł,
wnuków szynel rozwiany uderzał o Lwów.
Tysiąc Bohunów krasnych ścięło jarów ciążę,
wzniciwszy szablą gwiazdy leninowskich słów.

Piotrogrodzki karabin i maksym moskiewski
z pułtowskim ślusarzem przez nurtów szły bród.
San jak lampa migotał. Do Lwowa nie weszli.
Zahulał podłych zdziwców stary, tęgi knut.

Znów niedolę swą śpiewał, boje w szandar wcielił,
marszem we wschód wpatrzonym ulic dzwonił bruk,
aż pułkami zaludnił łąk i borów zieleń
lud w mundurach radzieckich — po San i po Bug.

A dziś, gdy włos siwawy, pragnąłbym powrócić
na step kołchozów pełen i fabryk i hut,
w koni stalowych tętent wsłuchać się na hucie,
pochwalić złoto pszenic, czarnoziemu plód.

I zawołać po polsku przez sady i żyta,
ścisnąwszy bratnią, bliską, ukraińską dłoń:
Hej, młody orle, wolnej Rzeczypospolitej
przed swobodą radziecką głowę dumną skłoń.

SPRAWY WYDAWNICZE

Na dziesięciolecie — obietnice i rzeczywistość

Niedawno — w połowie 1953 roku — Centralny Urząd Wydawnictw zarejestrował aż 150 wydań specjalnych zapowiedzianych na lipiec br. w dziesiątą rocznicę PKWN. Dziś skonfrontowana z możliwościami wydawniczymi i autorskimi lista ta kurczy się do ok. 90 pozycji. Jednak już pobieżne przejście tej listy wskazuje, że większość z nich stanowią wydania książek z planu 1954 „dedykowane” tylko dziesięcioleciu i z tej okazji zapowiadane jako szczególnie starannie opracowane i wyposażone. Adresuje więc rocznicy na przykład Państwowy Instytut Wydawniczy 80-arkuszowy wybór Słowackiego, bogato ilustrowany przez kilkunastu czołowych grafików 10-tomowy wybór pism Prusa i 20-tomowy wybór pism Sienkiewicza. „Czytelnik” zapowiada już w najbliższym czasie dwutomowe ilustrowane, oprawne w płótno, wydanie Dzieł Poetyckich Mickiewicza, dwanaście tomów Orzeszkowej, sześć tomów Dygasińskiego, wybór Lennartowicza. Nie bez żalu dowiadujemy się jednak, że zrezygnował „Czytelnik” z wydania w br. Syrokomli i jednotomowego wyboru pism Żeromskiego.

Z książek pisarzy współczesnych zapowiadają wydawcy czołowe powieści o tematyce związanej z dziesięcioleciem: K. Brandysa, Konwickiego, Zalewskiego („Czytelnik”), Morcinia Gofawiczyskiej (Iskry), Putramenta, Pytlakowskiego i Machajki (Wyd. MON), Banasina i Piątka (Lud. Sp. Wyd.), Andrzejewskiego, M. Brandysa, Wygodzkiego, Żuławskiego i Żukrowskiego (PIW). Są to zobowiązania przede wszystkim piarzą na rok 1954. Przed rokiem

zobowiązań tych było znacznie więcej — że wspomnę tylko zawód zrobiony Państw. Inst. Wydawniczym przez Kruczkowskiego, Dobrowolskiego, Jarochowską i Koźniewskiego. Młęgmy nadzieję, że zapowiadane tomy ukażą się w roku 1955. „Czytelnik” chce starannie wydać z okazji dziesięciolecia dziewięć tomów pism i wierszy wybranych autorów współczesnych.

Pośredni również związek z dziesięcioleciem mają liczne w planie książki o Warszawie — Małcużyński (w Książce i Wiedzy), Szelburg — Zarembina, teksty z okresu Oświecenia pod red. J. Kotta, K. Beylin (w PIW) i Gomulicki (dla dzieci — w Naszej Księgarni). — Opowiadania mazurskie zapowiada „Czytelnik”, rezygnując przy tym niestety na rok bieżący z opowiadań polskich pod redakcją Żukrowskiego. Natomiast Nasza Księgarnia wydaje w opracowaniu dla młodzieży „Opowiadania opolskie”. Piękną inicjatywę podjęła Książka i Wiedza zapowiadając ozdobne masowe wydanie reportażu czołowych literatów o Polsce. Niestety, z dwu książek realna jest tylko jedna, a i ta umieszczona została w planie z terminem wydania na koniec roku.

Trzeba jednak przyznać, że Książka i Wiedza dźwiga główny ciężar właściwych wydawnictw dziesięciolecia specjalnie z perspektywą tych lat i naszych osiągnięć pisanych. Tu ma się ukazać albumowe wydanie „X-lecie Polski Ludowej”, wybory dokumentów do historii X-lecia, stosunków polsko — radzieckich. Książka i Wiedza wyda w br. popularne broszury o rocznicy, o Konstytucji, o prze-

mianach kulturalnych na wsi, wspomnienia i pamiętniki robotników i chłopów, dzieje miast w krótkim, popularnym zarysie. Lud. Sp. Wyd. utrzyma w planie szereg popularnych broszur politycznych, Iskry — pamiętniki młodych robotników i ciekawy w pomysł „Almanach debiutów” 1954 roku, Nasza Księgarnia — kilka książeczek dla dzieci, kalendarz dziecięcy, książkę dla dzieci popularyzującą specjalizację w różnych dziedzinach pracy.

Oddzielną serię stanowią w planie zapowiedzi książek o osiągnięciach w poszczególnych dziedzinach życia gospodarczego i kulturalnego. Polska Akademia Nauk przygotowuje tom o dziesięcioleciu nauki w Polsce, o osiągnięciach w dziedzinie nauk prawnych, o historii rozwoju gospodarczego Polski. Państw. Wyd. Techniczne zapowiadają „dziesięciolecie techniki”, wyd. rolnicze — album o wsi 1944 — 1954. Pod redakcją Matuszewskiego Instytut Badań Literackich przygotowuje tom szkiców z historii literatury polskiej 1944 — 1954, „Czytelnik” — antologię poezji dziesięciolecia. Filmowa Agencja Wyd. — przygotowuje historię filmu polskiego i popularny album pod red. Bossaka. PIW — zamierza wydać i z wielką szkodą dla sprawy zaniechał wydania albumu „10 lat teatru w Polsce”. Mają się ukazać dzieje najnowsze naszej medycyny, muzyki, malarstwa, grafiki i rzeźby, albumy i wystawy o osiągnięciach kulturalnych, naukowych, gospodarczych.

To wylizcienie wskazuje na poważny — i dość wcześnie podjęty wysiłek naszych wydawców. Jeśli opracowanie i

szata graficzna, no i terminy nie zawiodą — na półkach księgarskich znajdą się dziesiątki cennych książek o szerokim wachlarzu tematycznym.

Trzeba tu jednak wskazać również na istotne potrzeby wydania większej ilości popularnych wydawnictw dla wsi — bogato ilustrowanych i napisanych przez czołowych literatów. Nie można się pogodzić z opóźnieniami wydań takich masowych albumów o Polsce i jej dziejach. IX Plenum i II Zjazd PZPR stanowią nowe bodźce do podjęcia wydania broszur, książek, albumów o budownictwie socjalizmu, o industrializacji, o ludziach naszych dni. Poważnym brakiem planu jest pominięcie zagadnień międzynarodowych, wzrost znaczenia międzynarodowego Polski, jej miejsca i roli w obozie pokoju. Niesposób również pominąć w naszych wydawnictwach osiągnięć tych lat w ZSRR i szczególnie u nas niedbanej historii ostatniego dziesięciolecia krajów demokracji ludowej.

Już tylko kilka miesięcy dzieli nas od 10 rocznicy PKWN. W dziesiątą rocznicę za szczególną wyrazistością stać będą przed każdym z nas nie tylko wspomnienia radosnych dni wyzwolenia, ale i osiągnięcia minionych lat i perspektywy dalszego szybkiego postępu. Wydaje się, że na apel związków twórczych, na wysiłek organizacyjny wydawców nie wszyscy jeszcze ludzie pióra odpowiedzieli zapowiedzią swojego wkładu, wzbogacającego dorobek wydawniczy tego roku. A jeszcze nie jest za późno na pomnożenie tych wysiłków.

Adam Bromberg

Ankieta „Nowej Kultury”

Pisarze wobec dziesięciolecia

PAWEŁ JASIEŃCICA:



Pewnych rzeczy nie da się krótko zreferować. Lepiej jest spróbować je użyszczyć, chociaż w danym wypadku zamiar taki wymaga powtarzania fragmentów dawniejszych reportaży.

W październiku 1949 dość nieoczekiwanie trafiłem na piękny i bezładny Ostrów Lednicki. Jest to spora wyspa na jeziorze tego imienia, opisana niegdyś przez Kraszewskiego w „Starej Baśni”. W zaskakująco potężnych wałach obronnych usypianych późno, bo w XII wieku, sterczą tam odizolowane kamienne ściany zamku i koliste kościółki, wzniesione przez Mieszka lub Chrobrego. Zburzone zostały najpóźniej w roku 1038. Przeszło więc nad ruinami dziewięćset lat, a różowawa barwa zaprawa do dzisiaj trzyma tak, że łatwiej jest rozróżnić dół kamienia w ścianie niż spoiwo.

Opisawszy wygląd zwałisk zakończyłem wtedy reportaż następującym komentarzem:

„Ubóstwo. A dostojęństwo większe niż w wawelskiej katedrze. Bo ten krąg surowego kamienia — to przecież trzeba ocenić — jest zardkami, zawiązkami całej polskiej kultury. Do dziś w pierwotnej formie dochowanym świadectwem początku. To pierwszy krąg na nieuruchomionej przedtem wodzie. A jeżeli nawet nie pierwszy — to jeden z pierwszych (co miało oznaczać, że rotunda Feliksa i Adauka na Wawelu jest starsza — przypisek obecny). Z niego wyrósł później wszystko — świetność wawelskiego zamku i romańszczyzna i gotyk, renesans i barok. Z tej prostej, niezdałnej budowli!”

Nieco powyżej, ale w tej samej szpalce reportażu, pisałem o tym, co znaleźli archeolodzy w przekopie, poprowadzonym wprost od murów kościoła ku wodzie jeziora. Pokazał się tam stromy wał, który ongi musiał być o kilka metrów wyższy i osiady, bo zbudowano drewno, a została tylko zeskalona gлина. Cienkie, paromilimetrowe smużki próchna stanowią jedyny ślad po grubych tramach umocnienia. Od jego spodu wybiegają pod kątem prostym całkiem dobrze zachowane przylęgłe konstrukcje drewniane, jakby wąskie języki czy ostrogi z belek. Przeznaczenie ich było bardzo specjalne: miały utrudniać podtapianie pod wały machin oblężniczych i rozczłonkowały szlak nacierającego nieprzyjaciela.

„Lebskich tu na Lednicy mieli inżynierów” — napisałem wtedy wcale szczerze, nie żywiąc najmniejszych wątpliwości — i ex-pressis verbis informując — kiedy to było. A miało być grubo przed wzniesieniem zarówno zamku jak i kościoła, których ruiny stoją na rozwalinach kunsztownej fortalicy, niczym na fundamencie.

A skoro tak — to jakież, przez „Iłtoś”, „zarodek” czy „zawizek całej polskiej kultury”? Jaki „pierwszy krąg”? Jaka „nieruchoma przedtem woda”? Przecież świetność wawelskiego zamku i romańszczyzna i gotyk, cała słowem historia Polski i jej kultury wyrosła z poprzednich — tych rzekomo bafających — stuleci rozwoju, a nie z jednostkowej decyzji geniuszu, którym zresztą Mieszko I był bez wątpienia.

Historia w dobrej wierze popełnionego błędu warta była chyba przytoczenia. Bo wynika z niej oczywisty wniosek: można znać przesłanki, ale co to znaczy znać? — wiedzieć je, dotykać, opisywać, starając się o największą ścisłość i być niezdolnym do wysnucia słusznej konkluzji. Wszystkiemu winne przekonania powzięte a priori, bez dostatecznych racji, i brak metody szukania prawdy.

Tamten reportaż ujrzał druk w listopadzie 1949 roku. W trzy lata później, w grudniu 1952 roku, wyszedł „Świt słowiańskiego jutra”, który, respektując kanony materializmu historycznego, „prostował” dawniejszą omyłkę swego autora. Rozdział poświęcony Lednicy sławił świetność i dostojęstwo tamtejszych kamiennych zabytków, ale przedstawia je jako jedno z ogniw procesu historycznego, a nie jako fenomen, którego właściwie wyjaśnić nie sposób.

Sądę, że dzieje tego błędu i sprostowania wcale nie są uzasadniającą na czym polegała istota przebytej ewolucji intelektualnej, która nie była ani szybka, ani łatwa, i o której w ankiecie tej trzeba parę słów napisać.

Jedno trzeba bez ogródek powiedzieć i podkreślić. Dziesięć lat temu nie należałem do tych, czyją pracę uwięził dzień 22 lipca 1944 roku. W środowisku, w którym spędziłem lata okupacji, czyli po prostu w A.K., nie wszyscy jednak wybierali się „Intromitować pudła Gagę do białego pałacu na Ukrainie” i marzyli o tym, by ulicę miast polskich znów zakwitły korporanckimi deklarami. Nie wszyscy. Na pewno. Nigdy nie warto zbyt upraszczać rzeczy skomplikowanych, gdyż w przeciwnym razie łatwo — wzorem pewnego reportera na Lednicy — popaść w kolizję z rzeczywistością. Wielu z tych, którzy polegli, stając się ofiarami zarówno okupanta jak i zachodniego, „sojuszniczego” oszustwa, wyznawało ideały odległe od dopiero co wspomnianych.

Istniało wtedy pewne marzenie. Po łacinie rojenia takie zwą się somnia vigilantium, sny czuwających. Polegało ono, to marzenie, na wierze, iż w przymierzu z tak podówczas u nas zwanymi „wielkimi demokracjami Zachodu” uda się odnieść zwycięstwo i jednocześnie wyrwać Polskę z zastoju, dać jej to wszystko, o czym tylekroć opowiadali szczęśliwcy, powracający z przedwojennych wojażów. Lepszy standard życiowy, liberalne instytucje, oświata, kultura. Wzdychało się do porządków panujących w tych krajach, które dawno wyrzekły się zaczepek wojen i zaborów (w Europie), reprezentowały natomiast dobry poziom cywilizacji, teki zaś premiera nie powie, że łatwiej jest rozróżnić dół kamienia w ścianie niż spoiwo.

Bardzo to były powierzchowne diagnozy. Ale ostatecznie przyznajmy, że niektóre państwa na Zachodzie u schyłku XIX wieku istotnie wiele osiągnęły i procent zadowolonych z losu był tam większy niż kiedykolwiek w dawniejszych okresach historii.

Pamiętam pewne przypadkowe zebranie, na którym ktoś z jego uczestników jał się rozwozić nad urokami życia w Belgii, w środowisku intelektualistów i kulturalnego mieszczaństwa. Oczy obecnych zamglały się z tęsknoty. Oto wzór — można było w nich czytać — z nimi wiążemy swe nadzieje, w tamtą stronę szlujemy.

Wszyscy, którzy brali udział w tej rozmowie mieli co najmniej średnie wykształcenie. Wszyscy wiedzieli, że Belgia posłada Konga. A więc proszę — fakt stosunkowo wysokiego dobrobytu w Belgii był znany, istnienie jej imperium kolonialnego też. Brakło tylko całkiem prostego wniosku, że za ową brukselską szczęśliwość płaci nędzą jeden z najbogatszych krajów na świecie. Okazuje się zatem, że błąd typu „lednickiego” bywa mocno rozpowszechniony i prowadzi może do katastrofalnych następstw. Bo na pewno słusza

jest surowa historiozofia autora „Cichego Donu”, który powiada, że nie to decyduje, czy ktoś jest osobie przyzwyczajonym człowiekiem i subiektywnie zła nie pragnie, a nawet chciałby jakiegoś przez się wymarzonego dobra. Jeżeli tylko ów ktoś stanął w poprzek obiektywnego nurtu historii — będzie zmieciony na bok albo i jeszcze gorzej.

Przynajmniej jednak, że dla znakomitej większości inteligencji polskiej dopiero po 1945 roku powstały warunki spostrzeżenia, że w hierarchii porządku kapitalistycznego naszej ojczyźnie znacznie bliżej do Konga niż do Belgii. A więc ów wymarzony awans kraju może być osiągnięty tylko w przymierzu i towarzysztwie tych, co dotąd byli na dole i ruszyli do walki o zmianę takiego stanu rzeczy. To jest właśnie obiektywny nurt historii. Niedostrzeżenie go spowodowało wiele skutków wręcz tragicznych.

Podczas wojny Ksawery Pruszyński ogłosił na emigracji eses „Zagubiona zwrotka”. Świetny pisarz informował w nim, że już w początkach XIX stulecia z naszego hymnu narodowego wypadł poniższy czterowiecz:

„Marsz, marsz Dąbrowski,
Kraj na ciebie czeka,
Ty z Francji do Polski
Wróć z prawem człowieka”.

Pruszyński twierdził, że zwrotka ta stała się niemożliwa w Księstwie Warszawskim, w którym doszły do w dzy sfery aż nabyły zachowawcze. Słusznie. Wiadomo skądinąd, że po kampanii 1809 roku na rynku krakowskim orderami Virtuti Militari dekorował żołnierzy nie dowódca, tylko pani Zamoyska. Gdzie tu w tych okolicznościach śpiewać o „prawach człowieka”?

Nie warto się domagać włączenia zagubionej zwrotki z powrotem do oficjalnego tekstu hymnu „Jeszcze Polska”. Bo zawierał się w niej błąd wielki, aczkolwiek spowodowany szlachetnymi intencjami.

Żadnych praw człowieka znikąd przyniesić ani przywieźć nie można. Ta roślinna nie wytrzymała transportu i nie daje się przesadzić. Lepsze, wyższe, godniejsze ludzi formy życia zdobywa się na własnym gruncie, walcząc o nie ciężko i jeszcze ciężiej pokoleniami pracując. Nigdy nikomu nie przyszły one łatwo i darmo.

Sławna powieść Aleksego Tołstoja nazywa się „Droga przez mękę”, genialny tytuł.

W kwietniu 1948 roku wybrałem się w podróż po województwie białostockim, a więc po terenach „Polski B”. Ostatni z napisanych wtedy reportaży zwał się „Jednym płucem”. Figurowało w nim pytanie, czy zawsze tak ma być, że Polska oddycha tylko jednym płucem, zachodnim, a wschód obumiera w zastoju. Doradzałem wtedy przeniesienie niektórych mniejszych zakładów przemysłowych z Nadodryza za Wisłę (wolno dziś ka-

żdemu śmiać się z tego projektu, ale to było pisane w roku 1948, w trosce o los „Polski B”). Wkrótce potem stały się wiadome zamysły Planu Szóstoletniego i rozpoczęła się ich realizacja. Zawiśle otrzymały kombinaty włókiennicze, cementownie, fabryki, koleje, elektrownie. W niedalekiej przyszłości Bug ma popłynąć uregulowanym korytem.

Dowiadując się o tym wszystkim autor reportażu „Jednym płucem” musiał się zastanowić, czy otrzymał odpowiedź na swoje pytanie. Najprostszą uczciwość oraz szacunek dla samego siebie wymagały stwierdzenia, że tak.

Przyszedł też wtedy czas na rozważania natury ogólniejszej.

Pochodzę z nad Wołgi, z Symbiru. Rewolucję przeżyłem w okolicach ówczesnego Tweru, a dzisiejszego Kallina, wojnę domową na Ukrainie koło Kijowa. Dzięki temu z własnych wspomnień wiem, jak tragicznie trudny był początek drogi, która doprowadziła Związek Radziecki i wszystkich komunistów do tego, co jest dziś. O, nie chodzi tu o żaden „zawrót głowy od sukcesów”, których się było świadkiem. Ale — jak to wszystko wytłumaczyć, objaśnić? Czemuż, skoro tylko komuniści obejmą władzę, zaraz zaczynają robić to właśnie, co Polscy i inni krajom zafocowanym jest koniecznością do życia, rozwoju i zwycięstw potrzebne, a co w celowym skrócie i uproszczeniu da się tak określić: nauczyć wszystkich czytać, pisać, budować i obsługiwać maszyny. Czy mamy do czynienia z niewytłumaczalnym fenomenem, niezwykłym urodzajem na talenty wśród ludzi o marksistowskich przekonaaniach, a w szczególności na wschodzie Europy i w Azji?

A może po raz pierwszy na świecie tak się dzieje, że czynnik sprawujący władzę posługuje się nie tylko doświadczeniem i zdolnościami swoich ludzi, lecz także teorią naukową, metodą myślenia, która pozwala rozumieć sens procesu dziejowego i przewidywać zarysy przyszłości?

Długo biedziłem się nad zdefiniowaniem istoty „nowego”. Czyńnięm to tym intensywniej od czasu, kiedy podczas rozmowy z pewnym chemikiem zorientowałem się nagle, że materializm historyczny wymaga od nas, humanistów i adeptów nauk społecznych, tego, bez czego przyrodniczy w ogóle nie wyobrażają sobie swej pracy. Jakżeż czas temu dowiedziałem się, że sfomułowania, nad którymi się trudzę, do złudzenia przypominają tezy, grubo wcześniej postawione przez jednego z polskich uczonych. Nie chcąc narażać się na zarzut plagiatu, zrezygnuję z własnych określeń i przytoczę fragment odczytu rektora Stanisława Kulczyńskiego, wygłoszonego we Wrocławiu. Znacomity uczonej precyzuje myśli znacznie ściślej niż bym to ja potrafił.

„Karol Marks jest w równej mierze własnością nauki jak i polityki. W rocznikach nauki wiąże się jego nazwisko z odkryciem klasy społecznej jako pewnego niezmiennika przekształceń życia zbiorowego. Uczeń wiedzą dobrze co to znaczy. Z punktu widzenia czystej metody naukowej odkrycie to posiada znaczenie podobne jak odkrycie atomu przez Daltona, gatunku przez Linneusza, protonu przez Ruthforda... drobnoustroju chorobotwórczego przez Pasteura. Każdy świadomy swojej pracy uczonej wie dobrze, że przed nauką wówczas otwierają się nowe horyzonty i nowe możliwości, gdy pojawia się nowa, realna jednostka badań. Nowa jednostka badań otwiera bowiem nowe możliwości analityczne, otwiera wrota do badania nowych relacji i związków. Analiza stosunków zachodzących pomiędzy nowoodkrytymi jednostkami pozwala wyjaśnić i opłonić wywać niezrozumiałe uprzednio zjawiska i procesy. Odkrycie atomu otworzyło badania nad stosunkami zachodzącymi między atomami i w następstwie pozwoliło zrozumieć i opłonić procesy analizy i syntezy chemicznej... Odkrycie drobnoustrojów, zanalizowanie relacji pomiędzy drobnoustrojami i stosunków między drobnoustrojem a organizmem pozwoliło zrozumieć zjawiska epidemii i opłonić groźne procesy chorób zakaźnych.

Odkrycie klasy społecznej i analiza stosunków zachodzących pomiędzy klasami pozwoliły zrozumieć zachowanie się narodów i społeczeństw, rzuciły światło na zjawiska kulturowe i gospodarcze. Wojna i pokój przestały być tajemniczymi zrzędzeniami losu... Zjawiska kulturowe i historyczne pojmowane dotychczas jako niedostępne dla naukowych syntez wyraży kaprysu woli jednostki, jako zjawiska dające się z a r e j e s t r o w a ć ale nie dające się n a u k o w o o p a n o w a ć, zostały wcielone w zakres analitycznych, syntetycznych i kierowniczych możliwości nauki...

Uczony i polityk, który nie chce słyszeć o klasie społecznej jako o elemencie dziejów i poszukuje rozwiązania zjawisk kulturowych, zjawisk historycznych, zjawisk gospodarczych, zjawisk wojny i pokoju w płaszczyźnie pomiędzy jednostką ludzką i narodami, przypomina chemika, który usiłuje steroować procesami chemicznymi nie licząc się z teorią atomową, lub lekarza, który usiłuje opłonić szerzącą się epidemię nie licząc się z istnieniem drobnoustrojów...”

Tak rozumiana metoda pozwala pojąć, czemu marzenia o „szlutowaniu” do zachodniego mieszczaństwa były ciężkim błędem. Nie sięgając do żadnych archiwów ani specjalistycznych dzieł, porównajmy...

*) „Sprawozdania Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego”, 1949, zesz. 1.

my po prostu realia naszej „Lalki” z „Sagą rodu Forsytów”. Okaże się, że w Polsce, wśród jej kapitalistycznej „góry”, w ogóle nie było członków klasy panującej (w europejskim nie zaś prowincjonalnym tego słowa znaczeniu). Proletariat natomiast był, taki sam jak gdzie indziej. I właśnie on reprezentował prawdziwą, a nie fikcyjną pozycję naszego narodu.

Muszę jeszcze dodać, że myśli tego rodzaju legły mi się w głowie zanim jeszcze zabrałem się do pracy nad „Świtem słowiańskiego jutra”. Ale kontakt z badaczami najodleglejszej przeszłości krajowej ogromnie mi „dopomógł” przy ich porządkowaniu. Niesłusznie uważa się archeologię za gałąź wiedzy oderwaną od życia, za szperanie w znieczułych ciekawostkach. W gruncie rzeczy nauka ta jak mało która wpływa na światopogląd, uczy bowiem poznawać same motory dziejów.

Korzyści odniesione ze styczności z nauką skłaniają do pewnych wniosków co do charakteru i kierunku dalszej pracy, pojmowanej jako służba swemu krajowi.

Wieleśmy ostatnio dyskutowali o przyszłości publicystyki i reportażu. Wydaje mi się, że zależy ona w znacznej mierze, a może nawet przede wszystkim, od zbliżenia tych rodzajów pisarskich do nauki, która winna stać się ich życiodajnym zapleczem.

Kilka lat temu Jerzy Andrzejewski ogłosił w „Odrodzeniu” artykuł „Propozycje teraźniejszości”. Tytuł ten uznać należy za niezmiernie trafne i lapidarne określenie samej istoty publicystyki, a w znacznej mierze także i reportażu. Bo nawet taki publicysta, który ogłasza eses na tematy historyczne też proponuje pewne sądy, powzięte z punktu widzenia aktualnych spraw teraźniejszości. Ustaleniem diagnoz zajmuje się jedynie uczonej.

Tak, tylko — jakie one mają być, te propozycje? Z palca wysrane? Czy też może powinny odzwierciedlać osobiste gusty, fobie i zamiłowania autorów? Można oczywiście i tak, ale trzeba pamiętać, że postępując w ten sposób łatwo po prostu swymi propozycjami oszukać własny naród (co, niestety, stało się udziałem wielu polskich publicystów przedwojennych, nawet takich, którzy działali w najlepszej wierze). Życie współczesne stało się ogromnie skomplikowane i nie podobna galopować po jego obszarach, niczym żreback po pastwisku. Jeżeli zdecydowałem się zaproponować takie czy inne rozwiązanie dowolnego, ale zawsze człowieka dotyczącego problemu, to chyba powinienem wiedzieć, że na dany temat wiele mają do powiedzenia rozmaite gałęzie wiedzy. Nie twierdzę, że nauka traktowana jako zaplecze publicystyki wystarczy nas od błędów, bo to jest niemożliwe. Ona tylko zmniejszy prawdopodobieństwo omyłki.

Przepis, który zalecam, nie jest łatwy. Ale musimy się doń stosować na ile się tylko da.

Można przypuszczać, że szczególnie wielkie szanse rozwoju mają dziś przed sobą te rodzaje pisarskie, które znajdują się na samym pograniczu prozy literackiej i naukowej, a nawet granicę tę zupełnie świadomie zaczynają zacierać. Do takiego wniosku skłania ta okoliczność, że przecież obecnie od wszystkiego, co się w druku ukazuje (lub ma zamiar ukazać) żądamy, by było literacko wartościowe i naukowo ścisłe. Domagamy się wartości poznawczych od poezji i powieści. Dobrze, słusznie — ale możliwości tych rodzajów, ze względu na samą ich specyfikę, są pod tym względem jednak dość ograniczone. Nie podobna zresztą poważnie dyskutować o regulacji Wisły czerpiąc argumenty z wierszy lirycznych, które na ten temat zostały napisane. Z drugiej zaś strony piśmiennictwo naukowe lubi a częstokroć i musi przemawiać językiem zrozumiałym tylko dla fachowców.

Wiedza o czynnikach, które wpływają na losy człowieka i społeczeństw ludzkich („warunkują je”, jak lubimy mówić) jest już bardzo obszerna i nieustannie wzrasta. Trudno wymagać od poezji, powieści i dramatu by nas wtajemniczały w jej arkan. Przydać się tu mogą raczej gatunki uważane dotąd za lekkie autorament, za peryferia literatury — reportaże, eses, zwyczajna, artykułowa czy też książkowa publicystyka. Czemuż zresztą mamy uważać, że lista jest już ostatecznie zamknięta i nie mogą się wytworzyć jakiegokolwiek nowych, odpowiadających rosnącemu potrzebom, a nie będącym tym, co się kwalifikuje do rubryki dzieł popularno - naukowych, bo to już jest dziedzina fachowców?

Pogranicze prozy literackiej i naukowej stoi otworem. Ktoś musi wtargnąć w tę „ziemię niczyją”, bo tego, jak się chyba słusznie wydaje, wymaga to, co zwykłymy nazywać zamówieniem społecznym.

I jeszcze jedno, na zakończenie tych przydługich rozważań. To, co piszemy jest dokumentem naszej epoki, ma odzwierciedlać jej walkę, marzenia, trudy i wielkość. A jeżeli tak, to szukając tematów w Polsce współczesnej nie pomijmy czasem pracowni badaczy, bo nam w przeszłości powiedzą, żeśmy źle patrzyli i nie wszystko co wielkie w kraju spostrzegli.

Paweł Jasienica

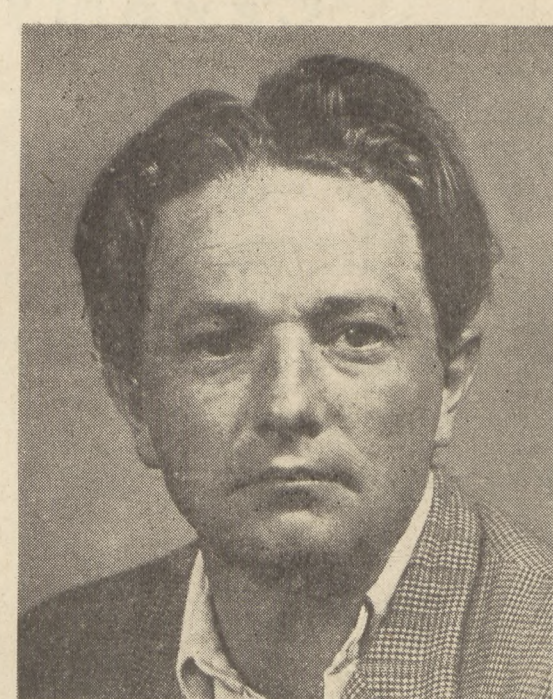
DELEGACI NA ZJAZD



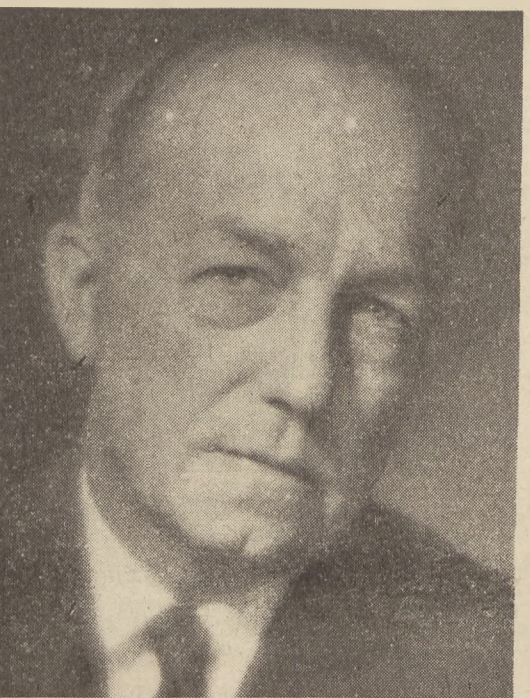
Kazimierz Brandys



Janina Broniewska



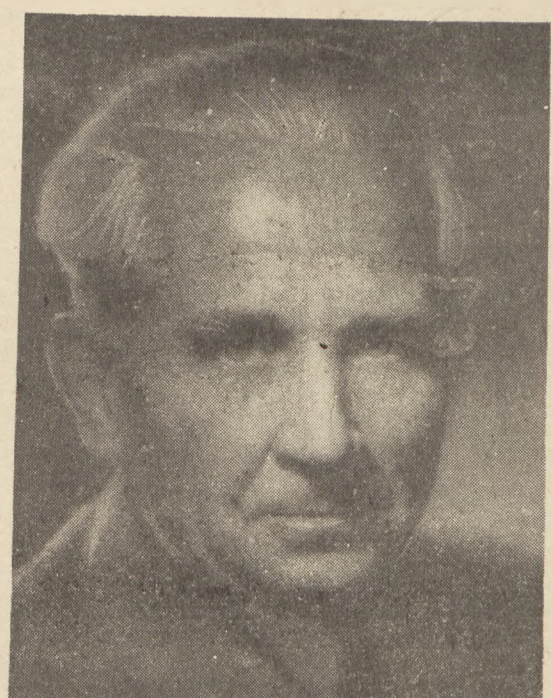
Bogdan Czeszko



Leon Kruczkowski



Jerzy Putrament



Lucjan Rudnicki

Na szkunerze „Mary Sime”

Rytcheu, pierwszy pisarz narodu czukockiego, liczy dziś 23 lata.

Revolucja Październikowa dopiero po kilku latach dotarła do leżące daleko na północy Czukotki, niosąc ze sobą nowe życie, cywilizację i kulturę. Po dwudziestu przeszło latach gospodarki nadzieckiej Czukotka osiągnęła wysoki poziom ekonomiczny kraju, posiada dobrze postawioną oświatę, bogate życie kulturalne. Alfabet czukocki istnieje 21 lat, „pisana” literatura czukocka zaczęła kielkować w ostatnich latach. Rytcheu zwrócił na siebie uwagę w redakcji pisma „Sowietiskaja Czukotka”, gdzie pracował jako tłumacz z języka rosyjskiego. W 1948 r. wyjeżdża na studia do Leningradu. W czasie studiów uniwersyteckich Rytcheu pracuje nad podręcznikami dla szkół czukockich, tłumaczy klasyków literatury rosyjskiej i zajmuje się własną twórczością. W poezji debiutuje w 1950 r. Nieco później zaczyna drukować opowiadania. Tom pt. „Ludzie z naszego brzegu”, który ukazał się w języku rosyjskim, zawiera dziesięć opo-

Wieladach z lat 1951-53. Debiut ten został wysoko oceniony przez krytykę radziecką, która przepowiadała młodemu pisarzowi dużą przyszłość. Wysoki stosunek stopień dojrzałości artystycznej, jakie cechuje książkę Rytcheu, tłumaczy się tym, że pisarz kształtował się i kształtuje na pięknych tradycjach literackich narodów Związku Radzieckiego, że nawiązuje i czerpie z wielowiekowego dorobku literatury mówionej ludów Północy. Przy głębokiej znajomości swego kraju, przy bezspornym talencie Rytcheu stworzył cykl niezwykle interesujących, świeżych, pełnych uroku opowiadań, które wykazują bystrość widzenia, umiejętność obserwacji psychologicznej, silne poczucie nowego, plastyczność w ukazywaniu postaci. Tematykę opowiadań stanowi zmaganie się z przeciwnościami dawnego bytu Czukczów i zwycięstwo socjalizmu wśród tajgi i tundry.

Drukowane poniżej opowiadanie wyjęte jest z tomu pt. „Ludzie z naszego brzegu”.

Podnieśliśmy kotwicę dopiero w końcu lipca. Do tego czasu kapitan Sime w żaden sposób nie mógł dobrać załogi na swój gust. Szukał chłopców, jakich nie łatwo znaleźć nawet na Alasce. Przyznawał to sam. „Mnie, powiedział, potrzebni chłopcy, którym morze sięga po kolana”.

Sime na trzeźwo był mało mówny, ale gdy podpił sobie — język rozwinął mu się natychmiast. „Jestem, mówił, kapitanem szkunera handlowego, a nie żeńskiej drużyny siatkowej. Szukam chłopców, którzy za setkę dolarów sprzedadzą rodzinnego brata”. A w istocie rzeczy dobierał takich, którzy nie za 100 dolarów lecz za flaszkę whisky gotowi byli sprzedać kogo popadło. Wyobrażacie sobie co za kompania zebrała się na naszym szkunierze?...

Tak więc, podnieśliśmy kotwicę, przeszli cieśninę Szelechowa, opłynęli półwysp, zostawili w tyle cieśninę Akutah między wyspami Lisimi. Wyszliśmy na morze Beringa, wzięliśmy kurs na Czukotkę...

Ale, zaskakujące, najpierw muszę opowiedzieć co za lichy zaniosło mnie na ów szkunier. Inaczej gotowicie pomyśleć, że i stary Memyl żył niedgdy z grabieży.

Memyl milknął. Nie spiesząc się, wydołuje z kieszeni woreczek z tytoniem, rozwiązuje go i spokojnie nabija fajkę. Rzeźbiarz Gemaue, dzierzca szkolny Kabćki, stary myśliwi Atyk i Gemalkot raz za jego przykładem. Ja, nie mając fajki, zapalam papierosa. Kiedy nad naszymi głowami podnosi się 6 dymków, na werandzie robi się przytulnie, a nawet jakby ciepło. Istotnie: w powietrzu jest już dość chłodno.

Ojdech nadchodzącej zimy daje się odczuć we wszystkim. Co prawda nie było jeszcze pożądných mrozów, ale i ciepłe dni, jak widać, już do przyszłego lata nie wróci. Zeszłej nocy dalekie wierzchołki gór pokrył śnieg. Dzień dzisiaj jasny, widać dobrze szczyty gór. Wiszą nad nimi lekkie obłoczki.

Cicho dziś, bezwietrznie. Starzy zebrał się na werandzie domu Zarząd. Ja, co prawda, jeszcze nie zaliczam się do nich, ale lubię, od czasu do czasu, posiedzieć razem z nimi, posłuchać. Siedzący, pogadujemy na słoneczku. Choć słońce nie grzeje, jest przyjemnie. Wkrótce przyjdzie długa zima czukocka — wtedy już tak nie posiedzisz.

Spółród wspomnianych tu starzych — Memyl jest najstarszy. Jest jakies podobienstwo między nim a tym jasnym dniem późnej jesieni. Włosy jego są równie białe jak śnieg na wierzchołkach gór. Dymek z jego fajki przypomina obłoki, które przepływają nad szczytami. Jego głos jest tak spokojny i jasny, jak ten jesienny dzień.

Alaskę nazywa Alaszką. Tak nazywali ją niedgdy żeglarze rosyjscy. Zna ją nie z map amerykańskich, lecz z własnej tułaczki. W czasie jego wędrówek góry i rzeki, porty i osiedla Alaski nie nosiły jeszcze nazw amerykańskich, lecz nazwy eskimoskie i rosyjskie. Dawno to było.

— Nie opowiadałem wam o rejisie na szkunierze *Mary Sime*? — pyta Memyl. — Nie mówiłem nigdy? Nie? Hm, widać nie zgadzało się o tym. Posłuchajcie więc.

— W owym czasie dobiegał już czwarty rok mej poniewiekni na Alasce. Pływałem jako marynarz na Kwichpunku, przepłukiwałem złoto na Jukonie, polowałem na wieloryby za Kodiskiem. Chciałem uciąć trochę grosza, aby powrócić do domu. Raz udało mi się nawet uzbierać pieniędzy na bilet, ale nie z tego nie wyszło: złamałem nogę, trzeba było iść do szpitala. Szpital zjedł wszystkie pieniądze. Znowu zostałem bez grosza. Było to w Nowo-Archangielsku, czy jak go tam zwą teraz, w Sitce? Tak, znaczy się, leżałem w Sitce. Potem przez cztery miesiące chodziłem bezrobotny. Wreszcie jakiś znajomy marynarz pomógł mi znaleźć pracę w restauracji. Prawdę mówiąc, była to portowa knajpa. Myłem podłogi, rąbałem drwa, likwidowałem bójkę. Tu znalazł mnie kapitan Sime.

Nie powiem, że byłem w jego guście, albo że podobał mu się mój charakter. Podobała mu się moja siła. A sił miałem wówczas dosyć. Co najważniejsze zaś kapitan Sime chciał zwerbować do swej załogi choć jednego Czuczka, który by znał wybrzeże Czukotki i mógł w razie potrzeby służyć za tłumacza. Sime'owi specjalnie zależało na tym aby w jego załodze nikt nikomu nie ufał. Podbiedzwał wszystkim przeciwno wszystkim. Dobierał ludzi tak, aby nie mogli się zmówić przeciwko niemu. Załogę skła-

dało: dwu Irlandczyków, dwu Eskimów, jeden Indianin, jeden Meksykańczyk, jeden Ukraińiec z Kanady i jeden Czuczka. Pozostałych siedmiu — było Amerykanami. Słowem, naród różny. Później dopiero połąpalem się, dlaczego Sime tak robił. Wówczas nie rozumiałem tego. Wielu rzeczy nie rozumiałem jeszcze w owym czasie.

Ważymy, choćby taki przykład. W ustach Sime'a błyszczał złoty ząb. Myślałem, że ludzie rodzą się z takimi zębami. Jakis wesolek powiedział mi, że Amerykanom złote zęby same rosną. Uwierzyłem. Cóż ja wtedy wiedziałem? Nic. Oszukiwał mnie każdy kto chciał.

Kiedy człowiek wie niewiele, byle niepion potrafi go oszukać. I nie tylko co do zębów. Nie tak łatwo odróżnić prawdę rzeczywistość od kłamanej. Teraz orientujemy się, lecz dawniej żyliśmy w ciemności. Często braliśmy przyjaciela za wroga, wroga za przyjaciela.

Nie uważałem Sime'a za swego przyjaciela. Jednakże nie przedko zrozumiłem, jakie to bydlę. Ale nawet, gdybym rozgryzł go od razu, to, prawdę mówiąc, tak czy siak, zaciągnąłbym się na jego szkunier. Najważniejszą sprawą było dla mnie: wrócić do domu, na Czukotkę. Sime od razu odgadł, czym może mnie ująć. Obiecał, że jak tylko skończy handel u wolni mnie. „Tyś mi, powiada, niepotrzebny w drodze powrotnej. Przed powrotem wysadzę cię na Czukotce i maszeruj z Bogiem do domu. A będziesz do brzo służył, powiada, to wysadzę cię przed samym stojbyszczem, dam ci coś niecoś. Nie wrócisz do domu z pustymi rękami”. Po tej rozmowie rozliczyłem się z restauracją, zabrałem swój węzełek i poszedłem na szkunier.

Szkunier Sime'a był solidny, dwumasztowy. Co prawda nie pierwszej już młodości. Tak więc, przepłynąwszy morze Beringa, dobiłszy do brzegu Czukotki. Co tu dużo gadać, sami wiecie, jak wówczas Amerykanie handlowali na Czukotce.

W ładowni stał rząd beczek z whisky. Było to takie paskudztwo, którego w Sitce nie chcieli pić nawet pijani marynarze. Ta plugawa whisky była głównym towarem kapitana Sime'a.

Gdy zatrzymaliśmy się przed jakąś osadą, kapitan Sime kazał spuszczać małą szalupę z beczką whisky. Z początku handlował jak inni. Żądał tylko dwa razy tyle, ile sam płać za tę truciznę. Brał skóry wilcze, reniferowe. Mogło się zdawać, że to całkiem niezły człowiek. Jeżeli ktoś nie miał skór, dawał trochę whisky nawet za mięso. W ten sposób upijał ludzi. Zaś właściciela bajdary i szamana woził do siebie na szkunier. Pił z nimi, częstował ich tytoniem.

Gębę miał nieszczerłą. Na prawej szczęk — szrama. Duża blizna wykrzywiała górą wargę. W ustach błyszczał złoty ząb, u pasa zwiisał rewolwer. Oczki maleńkie, bezbarwne.

Na morzu nie widzieliśmy nigdy, żeby się uśmiechnął. Na brzegu jednak, gdy rozpoczynał swój handel, mogło się wydawać, że nie ma lepszego i weselszego człowieka na świecie, jak kapitan Sime.

Dobroci tej nie starczało na długo. Co najwyżej na godzinę, nie więcej. Gdy kończyła się pierwsza beczka i myśliwym zaczynało się kurzyć z czubów, kapitan Sime oświadczał: „Koniec. Whisky nie ma. Jest jeszcze beczka rumu, lecz trzykrotnie droższego”.

Wówczas ładowali na szalupę drugą beczkę. Była w niej taka sama śmierdziucha, ta sama whisky najpodlejszego rodzaju tylko trochę zabarwiona. U kapitana Sime'a nazywało się to rumem. Pojawiali się wówczas również inne towary: winchester, śrutówki, sprzęt myśliwski, mąka, cukier.

Myśliwym ogień rozbiłaskł w oczach. Ale Sime stawał się teraz nieublagany. Nie brał tanich skór, nie brał mięsa. Kupował tylko fiszbinę wielorybie, kły morsa. Ze skór brał tylko lisy i niedźwiedzie. Za kubek „rumu” żądał skóry z lisa, za używany winchester — 10 wiązek fiszbin. Krótko mówiąc, oszukiwał myśliwych. Ze szkunera na brzeg szła wiozła najgorszą tandetę, a z brzegu na szkunier towary najwyższej jakości, który płacono w Ameryce na wagę złota.

Mimo to rejs nie był dla Sime'a udany. Zaledwie w dwu czy trzech osiedlach udało mu się rozpić i oszukać ludzi, nabrać kilka szalup cennego towaru. W innych osiedlach handel nie szedł. Nie pomagały żadne kruczki. Naród bowiem zaczął się już trochę miarkować na

cenach, niektórzy myśliwi bywali na rosyjskich jarmarkach w Suchym Aniuju. Po wtóre tuż przed *Mary Sime* grasowały tu inne szkunery amerykańskie. Obrabiali myśliwych do czysta. Kapitan Sime za długo wleczł się po Alasce, za długo dobierał załogę. Stracił okazję.

Prawdę mówiąc, przeszkadzałem mu w tym oszukiwaniu ludzi jak tylko mogłem. Sime powiada na przykład: „Powiedz temu gorylowi, że w całej Ameryce nie znajdzie lepszego winchesteru. Powiedz mu, że ten winchester został zaklęty przez największego szamana amerykańskiego: bije bez pudła w każdego zwierza. Jeżeli da 10 wiązek fiszbinu — to dostanie winchester i nauczę go zaklęcia”. Ja zaś tłumaczyłem: „Patrz dobrze, myśliwco, czy ta strzelba jest warta 5 wiązek. Nie dawaj więcej jak pięć. On obiecuje ci dać zaklęcie, chce cię przy pomocy pustych słów wyprowadzić w pole. Nie dawaj się, patrz dobrze, i żądaj na dodatek nie pustych słów, lecz setkę naboju”.

Nie zawsze, oczywiście, mogły się udawać takie rzeczy. Niektórzy marynarze rozumieli coś nie coś po czukocku. Musiałem działać ostrożnie. A to i który z Czukczów mógł wydać — szaman, właściciel bajdary, albo po prostu — zły człowiek. Mimo to ryzykowałem. Myślę, że trochę popsułem Sime'owi handel.

Sime, który i przed tym nie oszczędzał marynarzy, teraz po prostu oszalał. Od czasu gdy przekonał się, że jego kruczki zawodzią, stał się niepodobny do człowieka. Nie dał załozde chwili wytchnienia. Czeptał się o byle co. Jeśli nie mógł się do czegoś przyczepić, to, bywało, najzwyczajniej w świecie podbiegnie do kogoś i zaczyna bić. Tak sobie dla wyładowania wściekłości. Bywało, że przewracał człowieka, czekał aż ten wstanie i znowu zaczynał bić.

Ludzie z naszego brzegu byli podli. — Jednego biją, inni w śmiech, cieszą się, że tym razem, dostało się nie im a drugiemu. Czasami też sami bili się między sobą. We trzech, czterech napadali na kogoś. — Na *Mery Sime* był to chleb powszedni. Raz tylko, pamiętam, ujęli się za

kie jest ciężkie, dla człowieka nieprzywyczajonego może być nie do zniesienia”. To nic, powiada, wytrzymam. Lepiej żyć w jarandzie niż u Sime'a.

Umówiliśmy się z Tomem tak: gdy tylko podpłyniemy do naszej osady i Sime rozpocznie handel, my niepostrzeżenie umknijemy w góry. Stamtąd, z gór, będziemy obserwować statek i czekać dopóki nie zniknie nam z oczu.

Ale plan zawiódł. Podpłynęliśmy bardzo blisko do naszej osady, już przygotowałem swój tobolek. Tymczasem patrz, a szkunier oddala się od brzegu. Skoczyłem do sternika „Co to jest?” — pytam. „Tak, powiada, kazał kapitan. Wracamy na Alaszkę. Późno już, boi się, żeby szkunier nie uwiązł w lodach”.

Gorycz dodała mi odwagi, pobieglem do Sime'a. Sime tym razem nie szukał przycepek. „Jeszcze, powiada, po nogach będziesz mnie całował, żebyś mi zawiózł z powrotem do Ameryki. A to mogę wyrzucić za burtę”.

Pomocnicy jego — pił wówczas z nimi — zaczęli chichotać. Widział, że z bólu nie mogę wykrztusić ani słowa. Stoję, chwyciłem się za drzewo, żeby nie upaść. Wracał na Alaszkę, gdy brzo rodzinny jest tuż pod ręką — to było gorzej od bicia. Sime rozumiał to i nie prowokował bójkę. Pijanemu podobalo się, że od samych jego słów słaniem się, jak od ciosów, na nogach. „Czego chcesz, pyta, możeś bilet u mnie kupić, żebyś ci zawiózł z Sitki na Czukotkę? Pokaż bilet? Nie, Czuczka — zaws e nazywał mnie nie po imieniu, ale Czuczka — nie, mój statek to nie parowiec pasażerski, a szkunier handlowy. Zgodziliśmy się nie na pasażera, lecz marynarza. Jasne? Nie mam po co zaglądać do twej osady. Tam nie da się nic zarobić. Tam Carpentier prowadzi stałą faktorię. A jeśli chodzi o spotkanie twych rodziców, to mogę wyrzec się tej przyjemności. Jedną czukocka morda mi wystarczy. Wynos się stąd. Zaraz. Zrozumiem? Wcn”.

Po kilku godzinach nadeszła moja wachta. Stałem przy sterze szkunera. Stoję, a z oczu cieką łzy.

wachty. Nagle ujrzałem w dali, na przedzie jakiś statek. Nieduży szkunier, ze dwa razy mniejszy od *Mary Sime*. Jednomasztowy. Sime, który właśnie wyszedł na pokład, też zauważył ów szkunier. Kazał mi podpłynąć bliżej. „Hm, powiada, *Królowa Wiktoria*. Kapitan Archie wraca z łupem do domu”.

Na *Królowej Wiktorii* dostrzegłem również. Podpłynęliśmy bliżej. Cały statek był obwieszony skórami, które wietrzyły się wszędzie. Wisiały nawet na rejach. Futra niedźwiedzi, lisów, fok. Sime wraz z pomocnikiem przeszedł na pokład *Królowej Wiktorii*. Kapitan Archie pokazywał im swą zdobycz. Rejs jego, zdaje się, był bardziej udany niż Sime'a. Potem poszli do kajuty Archiego i piłi do północy. O świcie obudził mnie starszy pomocnik i znowu kazał stamąć u steru. „Przecież, mówię, to nie moja wachta”. „Wstawaj, powiada, nie mędrkuj. Wszystkich innych kapitan wezwał do siebie”.

Znowu stanąłem przy sterze. Wiaterek niewielki, pomyślny. *Królowa Wiktoria* idzie za nami — ze ćwierć mili, nie więcej. Marynarze myją pokład, każdy zajęty swoją pracą. U nas tylko ja jeden na pokładzie, wszyscy inni pod pokładem, u kapitana.

Cały czas zastanawiałem się nad czym oni tak radzą, czy czasem nie szykują czegoś przeciwko mnie. Ale nie, z tego powodu Sime nie zbierałby całej załogi. Za małym wróbel na to.

Zrazu nie słyszałem nic, później słyszę jakieś krzyki, wrzawę. Po kilku minutach wynieśli Toma. Myślałem, że zabili go. Zanieśli go do kubryku, zmyli z pokładu krew. Na statku wszystko toczyło się dalej, jak zwykle. Jakby nic się nie stało.

Nie pytałem nikogo, tylko przysłuchiwałem się uważnie temu, co mówili między sobą marynarze. Zdaje się, że w jakiejś ważnej sprawie Tom wystąpił przeciwko kapitanowi. Wychodziło nawet na to, że przeciwko całej załodze. Z szajki Sime'owskiej nikt go nie lubił. „Te baty, mówili, przejaśnia

się w kajucie Sime'a w pięciu — goście i nasz kapitan z pomocnikami. Nie minęło godziny, gdy nasi gospodarze wyszli sami na pokład. Zauważyłem, że młodszy pomocnik zrobił oko do jednego z marynarzy i zakreślił palcem w powietrzu coś jakby krzyżyk. A więc tych już zalałwili.

Część naszych marynarzy zgromadziła się u burty, reszta pochowała się, gdzie kto mógł: jeden za stos lin, drugi za skrzynię z piaskiem, trzeci pod brezent szalupy. W pewnej chwili kapitan Sime ryknął na całe gardło: „Człowiek za burtą!”.

W mgnieniu oka wszyscy marynarze z *Królowej Wiktorii* znaleźli się u burty, wpatrzni tam, gdzie wskazywał Sime. On zaś spodebła rzucił w nich okiem znowu zaczął patrzeć w morze. Wreszcie krzyknął: „Jest! Tam. Tam!”.

Słowa te były umówionym sygnałem. Z miejsca rozległo się kilka wystrzałów: to Sime'owscy bandyci strzelali ze swych kryjówek. Marynarze *Królowej Wiktorii* zbici w gromadę, padali jeden po drugim z okrzykiem śmierci na ustach. Dwu czy trzech zdołało przebiec kilka kroków po pokładzie, ale zaraz upadli.

Naraz dostrzegłem, że Sime patrzy na mnie. Spodebła, jak wilk z tundry. Chyba w tej chwili i mnie źle patrzano z oczu. Sime podskoczył do mnie, „Dlaczego, wrzeszczy, puściłeś ster?” I ręką jeścią rewolweru wałnął mnie w głowę. Nieprzytomny zwałem się z nog.

Jak długo leżałem bez pamięci, nie wiem. Po jakimś czasie oknąłem się. Cicho odwróciłem głowę, zacząłem się rozglądać. Widzę, że przy sterze stoi młodszy pomocnik, reszta zaś taszczy na nasz szkunier wszelkie dobytki z *Królowej Wiktorii*. Dwu nieśie skrzynię z kłami morsów, trzeci skórę niedźwiedzia, czwarty — cały snop fiszbinów wielorybich, piąty — wór z torbaczami. Sime obserwuje, daje rozkazy, popędza. Młodszy pomocnik zauważywszy, że oknąłem się, mówi: „Hej, mister Memyl, jak długo mam pracować za ciebie?” Podniosłem się, a on w trzech susach skoczył na pokład *Królowej Wiktorii*, skąd zaczął nosić jakieś rzeczy.

Kiedy skończyli przenoszenie łupu, Sime przeszedł na drugi szkunier, obejrzał ładownię, kubryk, kambuz i kajutę kapitana Archie. Potem dał znak, aby przenieść tam trupy kapitana Archie i jego pomocnika. Rzucili je na pokład, obłali cały pokład naftą i wrócili na *Mary Sime*. Kapitan Sime rozkazał podnieść wszystkie zagle na swym szkunierze, a na pokład *Królowej Wiktorii* rzucił pęk zapalonych paków. Natychmiast buchnęły płomienie. Marynarze szybko odcięli liny, którymi *Królowa Wiktoria* była przywiązana do nas.

Tymczasem wiatr wzmógł się szybko, pożeglowaliśmy naprzód. Długi czas było jeszcze widać płonący szkunier. Korciło mnie, aby popatrzeć w tył. „Hm, myślę, teraz już chyba nie widać. Na pewno spłonął”. Oglądam się — nie, płonie jeszcze w dali, na środku morza. Dotychczas, gdy wspomnę, cały ten obraz stoi mi przed oczyma.

✱

Stary Memyl milknął, stuka fajeczką o balustradę werandy i podnosi się. Dziw bierze, gdy patrzy się człowiek na tego wysokiego, silnego starca i myśli, że musiał on niedgdy znosić ciężki obelgi jakiegos niedogdzwia. Toż to nasz Memyl. Jasna głowa, dobre, gorące, młode — nie na swoje, ale młode — serce, jeden z najbardziej szanowanych ludzi w kolchozie. Ów niedogdziewicz Sime do pięć mu nie dorósł.

Gemalkot pyta:

— A co stało się z twym przyjacielem... którego nazywali Tomem... Przeżył?

Przeżył. Młody był, zdrow, po dwu dniach stanął na nogi. Ale niedługo wytrzymaliśmy u Sime'a. Nawet nie dopłynęliśmy do Sitki. W Nugaszaku wzięliśmy obydwaj — nogi za pas. *Mary Sime* zawinęła do Nugaszaku po świeżą wodę, skorzystaliśmy z okazji. Nie wzięliśmy nawet swych rzeczy, aby Sime nie domyślił się czego. Z Nugaszaku ruszyliśmy do Dillingham, tam Tom dostał się na jakiś statek, ja zaś pociągnąłem dalej do Georgtown, nad rzeką Kuskokum. Tak więc zmuszony byłem zatrzymać się na Alasce. Dopiero po trzech latach udało mi się wrócić na Czukotkę. Pomogli dobrzy ludzie. I tam bywają dobrzy ludzie. Nie tylko tacy jak Sime... Ale, czas już, starzy, pora na nas, Chłodno się stało.

Memyl schodzi z werandy, odwraca się do rzeźbiarza Gemaue i powiada, nawiązując do poprzedniej rozmowy: — Ha, dziwisz się do czego doszli Amerykanie, do jakiego barbarzyństwa. Ja się nie dziwię, Gemaue, dobrze ich poznałem przez te siedem lat. Poznałem na własnej skórze. Tacy jak Sime nie mają sumienia. Nie patrzą na człowieka, myślą tylko o dolarach. U nich, Gemaue, chciwość doszła do samego serca, wyzła całe sumienie. Do czysta.

Wg. rosyjskiego tłum. A. Smolana

Tłum. VII



Rys. A. Uniechowski

kompanem. Jeszcze na początku rejsu.

Kapitan Sime przyczepił się pewnego razu do Meksykańczyka. Zaczął go bić. Ten, nie mógł się już podnieść, zalał się krwią, a kapitan bił dalej. Kopął nogami. Jeden z marynarzy, zwany Tomem, w pewnym momencie powiedział: „Dostyć, szefie, wystarczy”. Ja powróżyłem za nim: „Szefie, wystarczy”. Skoczyłem do przodu i zastroniłem Meksykańczyka. Wówczas Sime zaczął bić mnie i Toma. A że byli z nim dwaj pomocnicy zaczęli bić nas w trójkę. Bili nie tylko pięściami, ale rewolwerami i rekojęściami rewolwerów. Pokiereszowali nas zdrowo. Najgorsze zaś było to, że ów Meksykańczyk jeszcze wymiewał się z nas. Ten sam, za którym się ujęliśmy. Marny, podły człowieczek.

Spółród całej załogi zawiązałem przyjaźń tylko z jednym chłopcem, Tomem. Tym, który ujął się za Meksykańczykiem. Dobry to był chłopiec, nędza zagnała go na szkunier Sime'a.

Tomowi dostało się od Sime'a więcej niż innym. Sime doprowadził chłopca do tego, że ów zaczął myśleć o ucieczce, o pozostaniu wraz ze mną na Czukotce. „Nie boisz się?” — pytam. — Nie umiesz mówić po naszemu, nie przywrócisz do życia w jarandzie. Życie czukoc-

Sime chodził dookoła, bawił się rewolwerem, przeklinał Czukotkę, Morze Czukockie, lody. Spoglądał przytem na mnie. Jakbym był winien temu, że pojawiły się lody. Przecież jesień. Inni kupcy i wielorybnicy już wrócili do domu.

Jaki ciężar leżał mi wówczas na duszy — nawet opowiedzieć się nie da. Chciałem rzucić ster, schwytać Sime'a i cisnąć w morze. Potem zaś skoczył samemu. „Pał diabli to wszystko, myślałem, do domu już teraz nie wrócisz. Po czterech latach poniewierki, le dwiem spojrzal z dala na rodzinny brzeg i znowu muszę płynąć do obcych. A może w domu nie ma już nikogo? Może już nikomu nie jestem potrzebny?”.

Nekany tymi myślami stałem przy sterze. Chwilami chciałem wprowadzić statek z całym rozmachem na skały, tak, aby *Mary Sime* rozciąlała się w strzępy. Kiedy mijaliśmy jaką skałę — a, jak widać, jest tam mnóstwo różnych skalistych wysepek — po prostu ciągnęło mnie, aby zmienić kurs szkunera. Jakby ktoś popychał za rękę.

✱

Nastał wieczór. Morze było ciche, spokojne. Nadszedł koniec mej

mu we łbie. Teraz będzie wiedział, że trzeba trzymać język za zębami”. Jeden z marynarzy warknął: „Poleży z tydzień, to i lepiej. W takich sprawach ci z sumieniem są niepotrzebni”.

Czułem, że zanosi się na coś niedobrego. Stało się to jasne, gdy podszedł starszy pomocnik i przejawszy ster, odesłał mnie do kapitana. Sime pyta: „Zmarłeś, co?” „Tak, powiadam, ranek chłodny. Wiatr dmie od lodów”.

Wówczas Sime nalewa mi pełną szklankę swego znakomitego rumu i powiada: „Pić, Czuczka, ogrzej się. Potem wracaj do steru i nie oglądaj się. Cokolwiek się zdarzy, sternik patrzy naprzód. Jasne? A obejrzyj się, pamiętaj, niczego nie widziałeś. I niczego nie słyszałeś przed mej komendy. Jeśli zobaczysz czy usłyszysz coś niepotrzebnego — rozprawimy się z tobą gorzej niż z Tomem”.

Wyszedł razem ze mną. Ja pośpieszyłem na mostek, do steru, on — na rufę. Kazał zwinąć żagle, aby poczekać na *Królową Wiktorię*, potem zaprosił kapitana Archie wraz z pomocnikiem do siebie na śniadanie.

Przyszli. Archie był pijany, gwał od rana. Mało co nie upadł, gdy przechodzili po desce. Zamknęli

Przeciw naturalizmowi w prozie

(Dokończenie ze str. 1)

jednej i drugiej łącznie, rzadko jednak teza autorska będzie koniecznym, z nieprzepartą logiką narzucającym się wnioskiem skonstruowanego obrazu rzeczywistości, w którym każdy szczegół ma swój sens i nie da się wymienić na inny. W takim obrazie punktem wyjścia procesu twórczego musi być materia życia, której ukształtowanie i przeświecenie umożliwia wiedzę teoretyczną artysty. Z lawiny faktów, zjawisk, szczegółów bierze wtedy twórca najzamienniejsze, konieczne, nie do zastąpienia. Taką metodę twórczą widać u Nałkowskiej, widać u Nowego, i innych wybitnych pisarzy i to jest metoda realistyczna, choćby określana przy pomocy różnych przymiotników.

W drukowanym w „Twórczości” drugim tomie „Wzłóów życia”, w obrazie przeżyć bohaterów powieści we wrześniu 1939 roku, żaden Zoil nie wykryje fałbanek, żaden Zoil nie zaproponuje zmian, żaden Zoil nie znajdzie nic zbędnego. Myśl twórcy kontroluje trafność każdego elementu obrazu artystycznego, każde słowo skondensowanej narracji wydaje się przesłane przez najmisterniejsze sito. Dla każdego słowa, dla każdego szczegółu nie tylko znaleźć można uzasadnienie ich wyboru w artystycznej logice odbicia świata, ale stwierdzić można ich jedynność, ich niewymiennność. Gdy Nałkowska każe chłopce Blazowej powiedzieć o wróbach „To w tej wodzie do picia dla kur to się będą tak trzepały, tak trzepały, że woda tylko „piżga”, niesposób nie przyznać, że to jedno zdanie starczy za charakterystykę pierwszoplanowej postaci w opisywającej powieści, tak celnie i z taką zadziwiającą plastyką ukazuje ono stosunek do świata przetrzeźwionej kobiety z ludu, jej temperament, jej specyficzne cechy kulturowe, jej życie. W wielu utworach mamy podaną ankietę personalną bohatera, dokładnie podane zewnętrzne realia osobiste i, mówiąc brzydko, ogólnobytowe, a daleko nam do rzeczywistej wiedzy o człowieku. „Prawdą nie jest pierwsze wrażenie” — pisał Lenin o poznaniu w ogóle, prawdą o człowieku nie jest rezultat ogólnej zewnętrznej obserwacji jednostkowej, sztuka prawdziwa to przede wszystkim sztuka najwzrostniejszej i najsubtelniejszej pojętej typizacji realistycznej wszystkich elementów wiedzy o człowieku a rzetelności artysty-realisty, borykającego się z wielokształtnością rzeczy ludzkich gwarantując to, co nazywamy indywidualizacją, a czego nie da się osiągnąć przy pomocy żadnych receptarskich zabiegów. Sztuka typizacji zaś, to sztuka selekcji, wyboru, przesiewu wszystkich elementów obrazu artystycznego — ludzi, ich myśli i czynów, całej zewnętrznej przedmiotowej materii życia. Jeśli typizacja nie jest rezultatem bezpośredniego artystycznego opowywania materii życia, wtedy powstaje schemat — ilustracja. Jeśli typizacja wypływa z samodzielnego, jedynie w oparciu o wiedzę teoretyczną, wysiłku poznawczego artysty, typizacja jest jednocześnie indywidualizacją, poznawcza wartość zjawiska typowego zawiera jednocześnie to, co nazywamy urodą jednorazowego zdarzenia.

W prozie ilustracyjno-schematycznej wszystko jest naturalizmem i to tym mimowolnym. Autorowi do ilustracji tezy o roli Partii w życiu społecznym potrzebny jest bohater, który zdrowi stosunki w zakładzie produkcyjnym, ta jego funkcja jest jedynie znacząca, ale w powieści trzeba stworzyć postać, trzeba podać taką czy inną ilość wiadomości o niej, i te wiadomości są dowolne, naturalistyczne. Potrzebna funkcja może spełnić człowiek zarówno brzydki jak ładny, stary jak młody, nerwowy jak melancholik, z taką czy inną przeszłością. W „Pamiętacie z celulozy”, w której wale jest całe życie Szczęsnego, wszystkie jego czyny i przeżycia, jakkolwiek szczegółów z nim związanych ma swój sens, wiąże się z jego losem, nie da się dowolnie zmienić. Gdyby Szczęsny był na przykład człowiekiem fizycznie odpychającym, nie pozostałoby to bez określonych konsekwencji dla jego losu. Gdyby nie przeżył rewolucji w Rosji, zmianie uległby charakter jego doznań. Inna zupełnie sprawa, że z tysiącami możliwych punktów wyjścia dla ukazania losów proletariatu w Polsce burżuazyjnej wariant losu Szczęsnego pozwala najgłębiej u-

trafić w istotę konfliktów narodowych w okresie pierwszej niepodległości. Na tym wyborze polega w dużej mierze istota talentu pisarza realisty.

Właściwe pojmowanie istoty typizacji realistycznej, według wnikliwej formuły Burowa wiążącej nierozdzielnie indywidualizację z typizacją, jest warunkiem sine qua non realistycznej sztuki i wyklucza zarówno schematyczne ilustratorstwo, uchylające się w ogóle od — mówiąc językiem Burowa — „głębokiego wyjaśniania rzeczywistości w obrazach artystycznych”, a więc uchylające się od rzeczywistego trudu twórczego, jak naturalizm właściwy, szukający tego, co indywidualne, niepowtarzalne, wyjątkowe. Nie łatwiejszego jako przejście od ilustracyjności do takiego naturalizmu. Utożsamianie typizacji realistycznej, czyli przenikania świadomości w głąb wielokształtnych, z trudem dających się porządkować zmiennych i niezmierzonych jak morze zjawisk życia, z ilustrowaniem gotowych formuł przy pomocy uboższej dowolnie skleconej materii obrazowej prowadzi do nieuchronnej klęski pisarza. Zrażony twórca nabiera przekonania, że przyczyna złą tkwi w postulowaniu typowości, fałszowi schematyzmu chce więc przeciwstawić wyjątkowe ale za to „prawdziwe” zjawiska życia. Nieprawdziwa okazała się kukielka działacza partyjnego za pociąganiem sznurka uzdrawiającego sytuację w zakładzie produkcyjnym, pisarz postanawia działacza partyjnego uczynić gwalcielem nieletnich, bo to będzie wprawdzie nietypowe ale kto wie, czy nie ożywi kukielki, bo wszystko to przecież być może. Czytelnik wzruszył ramionami na zakłamanie sielankopisarstwa, dalekie jak niebo od ziemi od właściwego naszej „piżgi” optymizmu w w widzeniu perspektyw przyszłości: pisarze gotowi są szukać wydarzeń „mrozących krew w żyłach”. Młodzi budowniczości Nowej Huty skaczą wtedy do wielkich pieców z powodu porażek erotycznych, działacze partyjni z braku zajęcia poszukują możliwości wyzycia się seksualnego. Jest to w tej chwili niebezpieczeństwo nader groźne.

Zjawiska naturalizmu w prozie współczesnej nie da się mimo wszystko sprowadzić jedynie do płytkiego ilustratorstwa i występującej w mniej lub więcej uszlachetnionej formie grafomanii, ani do odzywających ciągów do niezwykłości. Proza w naiwny sposób opisywająca rzeczywistość, a więc proza w najogólniejszej klasyfikacji estetycznej naturalistyczna, nie zrodziła się dopiero na gruncie fałszywych tendencji filozofii epoki imperializmu. Naiwna, opisująca a nie interpretująca świata literatura istniała właściwie zawsze i w pewnych warunkach historycznych spełniała nawet doniosłą funkcję społeczną. Gdy w heroicznej epoce burżuazji na skutek rozdziału między racjonalizmem i materializmem filozofii a praktyką społecznego życia istniała dychotomia między literaturą interpretującą zjawiska świata (publicystyka filozoficzna, powiastka) a literaturą opisową (pamiętniki, listy, powieści podróżeń, formy dziennikarskie), naturalistyczna w swej zasadzie estetycznej literatura opisowa wprowadzała w sferę zjawisk artystycznych doświadczenia społeczne stanu trzeciego. Piśmiennictwo to stanowiło glebę, na której wyrosła wielka proza realizmu krytycznego, koryżająca funkcje opisowe i interpretacyjne. Warunkiem osiągnięcia wyższego etapu w rozwoju tej prozy, etapu realizmu socjalistycznego jest wchłonięcie doświadczeń nowej klasy społecznej — proletariatu, doświadczeń, utrwalaonych przede wszystkim w literaturze opisującej (pamiętniki robotników, wspomnienia, reportaże, formy dziennikarskie). Piśmiennictwo tego typu jest w naszej literaturze ze wszech miar potrzebne. Gdy robotnik lub chłop chwytą za pióro, by zapisać swoje doświadczenia życiowe, egzotyczne najczęściej dla literatury warunki bytowania, rodzi się wtedy bezenny materiał dla literatury realizmu socjalistycznego. W naszej literaturze powojennej istnieje nawet specyficzne pogranicze gatunków. Początkujący pisarze, najczęściej pochodzenia robotniczo-chłopskiego, dysponujący materiałem ludowego doświadczenia życiowego, usiłując często wykorzystać ten materiał w formie powieściowej nie pamiętnikarskiej. Powieści to nie zawsze pełnowartościowe, ale ich naiwny naturalizm wymaga specjalnych kryteriów oceny.

Produktom ubocznym, przejściowym i na aktualnym etapie walki o realizm socjalistyczny już niczym nie usprawiedliwionym jest tak zwana powieść produkcyjna, środowiskowa, jak chce Flaszen, ilustracyjno-naturalistyczna, jak ją nazywa Melania Kierczyńska. Nawet gdyby przyjąć, wbrew dotychczasowej praktyce literackiej, że w powieści tego typu nie mamy do czynienia z tym, co próbowałem nazwać naturalizmem mimowolnym, w którym trudno widzieć jakiegokolwiek wartości poznawcze, nie ulega wątpliwości, że jest to powieść obca estetyce realizmu socjalistycznego. Widać to dosyć wyraźnie na ostatnich a więc wcale nienajgorszych przykładach tego typu powieści, na książkach Dziarnowskiej i Bienkowskiej, zwłaszcza tej ostatniej. Bohaterami ich są nie ludzie lecz instytucje życia społecznego, miasto w powieści Dziarnowskiej, biuro

projektów w „Dachu nad głową”. W utworach tych rezygnuje się prawie zupełnie z interpretacji rzeczy ludzkich, z rozumienia losów ludzkich, z ukazywania człowieka w procesie rozwoju własnego i kształtowanej przez niego rzeczywistości. Walka o realizm socjalistyczny oznacza przecież walkę o nowe w literaturze, z płaszczyzny materializmu historycznego dokonane spojrzenie na człowieka, o nową marksistowską koncepcję losu ludzkiego w powieści. Takiego rozumienia postulatów realizmu socjalistycznego dowodzą książki Lucjana Rudnickiego i Nowego, w pewnym sensie Brezy i ostatnio Kazimierza Brandysa. Książka Bienkowskiej natomiast świadczy z całą pewnością o naturalistycznych nieporozumieniach.

Spróbujmy ją dla przykładu zanalizować, żeby wykazać bezskuteczność zalecających przez krytykę środków profilaktycznych. Wzorem powieści o stoczniach, wytwórniach żelazniczych, fabrykach penicyliny Bienkowska postanowiła napisać powieść o biurze projektów, wybierając więc w konkretnym systemie tematów środowiskowych obiekt wcale nie marginesowy. Autorka zrealizowała najnowsze recepty krytyczne na dobrą powieść, według których bohater powinien się prezentować nie tylko w zakładzie pracy, ale w domu, w świetlicy, na koncercie i spacerze z ukochaną. Bienkowska przedstawia złą i uzdrowioną sytuację w biurze projektów, ukazuje związki życia prywatnego z życiem produkcyjnym, ale nie ukazuje ani jednego człowieka, którego losy i przeżycia skoncentrowałyby uwagę pisarki, którego dojrzewanie i wyrastanie byłoby przedmiotem jej opowiadania, jej analizy.

Ludzi są człowiek w pierwszych rozdziałach książki, że może Orański pozytywny, partyjny ale taki jeszcze niedożył, taki nieboleszy, taki ciapowaty, w ogniu trudności, w walce wyrobił się, dojrzewa. Gdzie tam! W biurze projektów zło złem pogania, a on uszuwa się w górskie zacisze, cudowny sekretarz Gawryś i inne cuda zmieniają sytuację w biurze, bierna cnota Orańskiego stanie się przedmiotem adoracji. Oto przeciwną marksistowskiej koncepcja człowieka i jego losu. A podobnie przedstawia się sprawa z zetempówką Kasia, Olą Górnyską, od samego początku do samego końca idealną w pracy zawodowej i społecznej, przed którą dla urozmaicenia od początku do końca piętrzą się trudności rodzinne. Inżynier Halemba zmienił się w trakcie wydarzeń, ale ten prawie jedyny wypadek dynamicznego ujęcia człowieka jest zupełnie marginesowy.

W reżutacie w „Dachu nad głową”, wbrew pozorom, pisze się o funkcjonowaniu zakładu pracy a nie o człowieku, jego konfliktach przy przemianach. Ludzie w „Dachu nad głową” to tylko pionki w dobrze lub źle funkcjonującym organizmie produkcyjnym. Pozorne zainteresowanie dla wszechstronnych przejawów działalności ludzkiej to tylko skutek stosowania schematycznej recepty. Dla akcji powieści, związanej z dziejami produkcji, potrzebny jest szkodliwy dyrektor, autorka kreśli schematyczną postać dyrektora starej daty, żeby jednak postać tę uczłowiczyć, opisuje jego upodobania domowe, tryb zjadania posiłków, gatunek używanych przez niego papierosów, kolor ról kupowanych dla kochanki. Z tych pozaprodukcyjnych zainteresowań autorki rodzi się nawet powieść serwis trafnych obserwacji, dotyczących obyczajów i materialnej kultury życia bohaterów. Ukazywanie pewnych typów kulturowych staje się w „Dachu nad głową” po trosze autonomiczną w stosunku do spraw produkcyjnych sferą usiłowań pisarskich. Dla akcji, związanej z historią produkcji, wystarczyłoby zażalenie, że Sulatycka wpływała demoralizując na pracowników (schemat starego typu), Bienkowska małe jednak jej inteligencjo-burżuazyjną w tzw. dobrym stylu kulturowe życia codziennego, by przeciwstawić jej prymitywizm tej kultury u inteligentów w pierwszym pokoleniu, Jamkowskiemu czy Duniaki. Wielu bohaterów powieści przydaje się Bienkowskiej tylko do takich przeciwstawień. Wrażliwość na zewnętrzną, prywatną kulturę życia wyróżnia książkę Bienkowskiej od innych powieści produkcyjnych, powoduje nawet zachwianie się równowagi kompozycyjnej powieści, bo sprawy prywatne rozsadzają ramy powieści o zakładzie produkcyjnym, nie rozwiązując jednak ani trochę sprawy najważniejszej, sprawy prawdziwego bohatera literackiego.

Sprawy tej nie rozwiąże bowiem uwzględnianie takich czy innych dziedzin przejawiania się działalności ludzkiej. Mogą wtedy mnożyć się napiętnowane przez Flaszena fałbanki, nie powstałe przekonywujący bohater. Miejsce pracy to najistotniejszy czynnik człowieka, budującego w Polsce socjalizm, ale nie sam człowiek, literatura zaś jest człowiekoznawstwem. Spojrzenie pisarskie musi być skierowane na człowieka, dzieje człowieka muszą stanowić o akcji powieści. Nie jest to żaden nowy postulat. Młody Mickiewicz jeszcze nie zabrawszy się nawet do samodzielnego twórczości wiedział, że „podług prawideł bohater epopei ma być naprzód najwa-

żniejszą akcją osobą”. Tej podstawy wszelkiej epiki nikt jeszcze teoretycznie nie podważył i dlatego wbrew niej nie może powstać literatura. Nie licząc wcześniejszych utworów o współczesności, w „Obywatelach” Brandysa, niezależnie od takich czy innych mankamentów tej powieści, jest znaleziony właściwy przedmiot opowiadania powieściowego. „Obywatele” to powieść o życiu, działalności i konfliktach Czyża, Kuźnara, Monawieckiego i innych a nie naturalistyczna powieść o budowie osiedla warszawskiego, szkole czy redakcji dziennika.

Oczywiście najogólniej formułowane postulaty sprowadzające swój sens do odnalezienia przez pisarzy epickiej perspektywy widzenia problemów współczesności nie ułatwiają ani trochę rzeczywistego trudu artystycznego ich opanowywania.

Rzecz znamienista, że z ogromu tego trudu zdaje sobie doskonale sprawę autor najlepszej u nas powieści realizmu socjalistycznego, dotyczącej wprawdzie w pewnym sensie przeszłości. „Tak — pisze Nowerly — łatwo im będzie z oddalenia i o tym, co się już ukształtowało. My piszemy z bardzo bliska, tkwiąc po uszy w aktualnościach. Piszemy na gorąco, za świeża, w czasie stawiania się czegoś, nieraz nawet dopiero o narodzinach, wśród sprzecznych doznań i przejawów zgadując ostateczne kształty, powiązania, rozwoju”.

Jest to wyznaczenie tak ważne, że niemal predystynuje ono Nowerlego do podjęcia trudu stworzenia wielkiej powieści o współczesności. Zrozumienie istoty trudności stwarza bowiem rzeczywistość możliwość ich przewidywania. Nowerly utrafił w samo sedno problemu. Opisać aktualnie ważne zjawiska życia to nie tak trudno, pisarze nasi od biedy to potrafili, opisać jednak to nie znaczy zinterpretować, uchwycić ich istotny sens, znaleźć sposób odślonienia tej istoty w języku realistycznej sztuki. Wielu pisarzy potrafi opisać założenie spółdzielni produkcyjnej w takiej czy innej wsi i jest to oczywiście swoisty naturalizm, o wiele trudniejszy jednak wagę tego faktu określić w losach człowieka a poprzez nie w perspektywie historii. Nowerly w jednym zacytowanym zdaniu potrafi wykipić proletariatu („Kamerjunker carski i kamrazym Puszkin zostaje z naszej proletariackiej szkoły imienia Karola Marksa wydany”). Ale czy potrafił tak jedno zdanie znaleźć dla wykpienia współczesnych wulgaryzatorów w dziedzinie sztuki?

Ukazanie istoty pozytywnych i negatywnych zjawisk współczesnego życia wymaga poważniejszych ambicji twórczych niż ich naturalistyczne mniej lub więcej prawdziwe opisanie. Dlatego prawdziwie realistyczna proza o współczesności jest najtrudniejszą, ale i najambitniejszą dziedziną prozy naszych czasów.

Walka o wypracowanie realistycznej metody pisarskiej w prozie, o odnalezienie dla nowych doświadczeń zjawisk życia społecznego epickich środków wyrazu czyni aktualnym niebezpieczeństwo naturalistycznej, to znaczy biologicznej, w rozmaitych swych odmianach do animalistycznej włącznie, koncepcji człowieka i jego losów. Taką naturalistyczną koncepcją losów ludzkich nie tylko dominuje w literaturze imperialistycznej, ale zaważyła na bliskich nam tradycjach późnego realizmu krytycznego, a u nas nawet na tradycjach nurtu rewolucyjnego w dwudziestolecie. Wielka epika powieściowa w stylu Tomasza Manna, Rogera Martina du Gard, Maza de la Roche'a czy u nas Dąbrowskiej ukazywała człowieka w dwóch wymiarach: biologicznym i społecznym. Statycznie ujmowana rzeczywistość społeczna służyła jedynie za materialistyczne tło biologicznej wegetacji indywidualu i całych pokoleń. Takie widzenie losów ludzkich wykryjemy nawet w twórczości Wasilewskiej aż do „Płomienia na bagnach” włącznie. Dlatego w walce o epikę powieściową nie możemy zapominać, że chodzi nam o epikę realizmu socjalistycznego a więc epikę, w której losy człowieka utożsamione są z biegiem historycznego procesu rozwoju społecznego, w której proces biologicznej wegetacji jednostkowej czy zbiorowej jest boczną a nie główną stroną widzenia świata. Tylko świadomość wszystkich niebezpieczeństw wytyczy właściwe drogi rozwoju wielkiej prozy realizmu socjalistycznego w Polsce, na którą czeka kształtujący się socjalistyczny naród.

Henryk Berez

NOWOŚĆ

Ukazał się zbiór interesujących opowiadań poświęconych Ludowemu Wojsku napisanych przez znanych pisarzy: J. Broniewską, Z. Bystrzycką, B. Czeszko, St. R. Dobrowolskiego, B. Hamerę, J. Henę, W. Macha, W. Machelkę, J. Meissnera, L. Przemysłowskiego, J. Przymanowskiego, J. Fytkowskiego, W. Zukrowskiego pt.

„ŻOŁNIERSKIE DNI”

ze wstępem J. Putramenta

Stron 270 zł 15.15

NAKŁADEM
WYDAWNICTWA MINISTERSTWA
OBRONY NARODOWEJ

K 2106-1

JULIAN STAWIŃSKI Spartakus imperializmu

Wola prawa Anglika, niż prawa człowieka”. W tych słowach Disraelego zawierał się cały program, cała treść wznoszonego przezeń brytyjskiego Imperium. Cynizm? Niewątpliwie. Tym większy, że „prawa Anglika” oznaczały wąską warstwę najwyższej burżuazji i z jej ramienia rządzącej arystokracji. Ale daleko mu było do dzisiejszej obłudy, gdy program i treść imperialna nie uległy zmianie, choć zmienił się całkowicie stosunek sił. Beznadziejność perspektywy oczywista jest dziś nawet dla tych spośród klasy panującej, którym zaciekle pragnienie utrzymania władzy dyktuje coraz bardziej drapieżne i absurdalne kroki.

Bieg spraw przeczuwali od dawna. Już sto lat temu żalił się organ wielkiego przemysłu, **The Economist**: „Niedługo uważano za rzecz naturalną, że wszelkie ustawodawstwo pracy było wymierzone przeciw robotnikom. Celem głównym było utrzymanie ich w podległości, w ryzach, ich całkowita zależność. A jednak wpływ klas najniższych rośnie bezustannie i na to nie ma rady. Żyją na dnie ludzkiego poniżenia, nędzy i niewoli, a nie podobna pozbawić ich mocy. Nie podobna najbardziej nawet samowładnego pana uczynić niezależnym w pełni od niewolnika. Takiej sztuki dotąd nie wynaleziono”.

Nad tym wynalazkiem biedziły się i biedzą dotychczas wszystkie pokolenia, rządy i parlamenty burżuazji angielskiej. Na obszarach Imperium próbuje go stosować aparat kolonialny. We wszystkich innych krajach, włączonych i niewłączonych w imperialną orbitę, czyni to dyplomacja brytyjska. Wiemy obraz jej metod i skutków dzięki świetnej książce młodego angielskiego pisarza, „Dyplomata” Jamesa Aldridge’a.)

W najbardziej lapidarnym skrócie określić można fabułę powieści jako dzieje misji dyplomatycznej, której celem jest zdławienie przy pomocy intryg ruchu wolnościowego w jednym z nawałniczych punktów imperialnego wladztwa — Iranie. W szerszej perspektywie misja stanowi częstkę wielkiej gry przeciw ZSRR i odcinek walki z budzącą się świadomością narodów zależnych, obłudnie przypisaną „kno-waniom radzieckim”.

Autor zaważył wyraźnie swoje zadanie do ukazania sprężyn, celów i sensu, czy raczej bezsensu współczesnego mechanizmu ucisku. Bez sensu nawet z punktu widzenia ciasno i egoistycznie pojętych interesów W. Brytanii. Powieść nie jest więc eposem społecznym, jej bohaterowie obracają się w zamkniętym środowisku własnym, poza które reakcja prawie nie wychodzi. Tak jest lepiej. W pewnej chwili Aldridge daje się ponawać epickim barwom życia i obyczajowi Kurdów. Wtedy szwy utworu zaczynają trzeszczeć. Lecz wraca powściągliwość i oszczędność autorska. W rezultacie, mimo dużych wymiarów, obraz jest ześrodkowany, skupiony, przejrzysty. Polityka przeszyca wszystkie karty książki, narracja jednak zachowuje żywość i plastykę, i najbardziej nawet polityczne dialogi nie nudzą. Stanowi to niewątpliwą zasługę wybitnego talentu autora.

Obok muru głównego autor stawia zagadnienie na pozór drugorzędne, ale w Anglii niezmiennie doniosłe. Aldridge porusza sprawę, którą można by nazwać sprawą sumienia i przepuszcza przez filtr konfrontacji z rzeczywistością. Jest to próba ognia, w której jedne wiązadła klasowe krepną, inne pękają; w której dojrzewa świadomość i odpowiedzialność wobec narodu, ulega rozszerzeniu poczucie obywatelskie.

Kapitałizm brytyjski jest najstarszy w świecie. Pierwszy wysnuł naleyte wnioski z wielkich odkryć geografii, geologii, techniki. Był już zupełnie dojrzały, gdy rywały nie wyszły jeszcze z powłok. Naród kupców rozwijał się w walce, narzucał to sama pozycja wypraski. Zmagał się z morzem, z przyrodą, z własnym zasklepianiem ciasnych sklepikarzy, których konieczność gnala w szeroki świat, każąc nie tylko rachować, ale i samodzielnie myśleć. Stąd zrodził się purytanizm i pragmatyzm, kształtując te cechy umysłu i charakteru, jakie wyróżniały Anglika gdziekolwiek się zjawiał, a które wyrabiało w nim życie i szkoła.

Tak budował kapitalizm swój ustrój: rozłożysty, zagarniający całe społeczeństwo, oparty na niewzruszoności, zda się, fundamentach. Tak było przez stulecia jego młodości i dojrzałego wieku. Lecz oto nadszedł imperialistyczny schyłek, a z nim rozbrat jawny zasad i postępowania. Szkoła nadal uczyła brać na serio piękne ideały — interes klas rządzących uczynił z nich frazes bez praktycy. Sprzecznosci zaczęły rozsadzać i umysł i charakter. Godność narodowa zmieniła się w kiplingowski rasizm, zwierzał wiecznotrwały fundament: rzetelność, fair play, a nawet słowo Anglika. Trudno o trafniejszą ilustrację tych przemian, jak podana u Aldridge’a opowieść o „dobrym” kupcu angielskim, który nauczył Persów bezwzględnej uczciwości w handlu opium.

Coś się zaczęło, jakieś chropawe pylinki zakłóciły funkcjonowanie cudownej aparatury fabrykującej

słynnych na cały świat lokai angielskich lordów i angielskiego imperium. Aldridge ukazuje to ziarno piasku i wyjaśnia, dlaczego urośnie ono nieodwołalnie w olbrzymi głaz, który zmiążdży maszynę i ukrytego za nią mechanika.

Sam mechanik przez cały czas zostaje niewidoczny, choć bez przerwy odczuwamy jego obecność i wpływ. Książka Aldridge’a jest powieścią o jego sługach.

Lord Essex to przedstawiciel arystokracji rodowej, w Anglii bardziej jeszcze niż gdzie indziej zrosniętej z kapitalizmem. Wola kapitalistycznego montera przetrwała go tak dokładnie, że czuje się już tylko jej składową funkcją. Nie ma w nim nic własnego: sumienie, honor, myśli, przekonania należą do Anglo-Iranian Oil Co i innych monopolii. John Asquith i Katarzyna Clive, potomkowie konkwistadorów polowe ziemskiego globu, wyrosli z tego samego pnia. Działają w nich te same odruchy warunkowe, tryb życia, nawyki, tysiąc owych pęt niewidzialnych, a od żelaza mocniejszych. Jednakże „szkoła panów” wyostrzyła w nich czujność moralną, zamiast ją znieculić; a zamiast biela na oczy dała przenikliwe widzenie prawdy ludzkiej. Wszystko, czym chlubi się Essex, im ciężej na kształt kajdanów. Ale brak im sił, by je zerwać; wystydą się zarówno brzydkich swych czynów, jak i szlachetnych impulsów. Młodość Asquitha ubiegła w czasach, gdy kontrasty bieli i czerni były mniej jaskrawe niż dziś. Więc dość łatwo na pozór zdławił w sobie potrzebę walki ucziszając poruszenia sumienia gorzkiem natrząśnięciem się z własnej sfery. Ale na człowieku uczciwym nie nie mści się tak boleśnie, jak kompromis moralny. Asquith nie idzie na dno. Zdobywa się na późny, lecz tym zacieklej uparty bunt. Decyzja Katarzyny dojrzewa znacznie prędzej. Ulatwia ją postawa Asquitha i młodość do MacGregora.

Spartakusem imperializmu i centralną postacią utworu jest MacGregor. Wbrew pozorom i wbrew twierdzeniom Essex’a, a nawet własnemu przekonaniu, znalazł się w dyplomacji wcale nie przypadkowo. Nauka — jak od innej zupełnie strony literatura — stanowi w epoce atomu nieodzowny filar, bez którego imperializm nie mógłby istnieć. Nie mógłby myśleć o wojnie, ani eksploatacji bogactw naturalnych i pracy ludzkiej. Ekspert naukowy stał się koniecznością dla spółek naftowych i wysługującej się im dyplomacji. Kapitalizm od dawna już izolował uczonych od życia społecznego. Az wreszcie, nieże płatni, uwierzyli wzorem Juliana Huxleya w niewzruszalność swojej wygodnej wieży z kości słoniowej.

MacGregor początkowo również tkwi w tej wierze. Obojętną, „naukową” postawę podważa w nim wojna, a następnie zetknięcie z rzeczywistością rewolucji irańskiej. Ale i wtedy MacGregor nadal się waha. Jego bunt ma raczej postać aktu rozpaczy niż świadomej woli. I trudno przypuścić, że bez pobudzenia go przez Asquitha i Katarzynę umiałby się zdławić na krok stanowczy. To międzydecydowanie, tak charakterystyczne i dla MacGregora i dla Asquitha i Katarzyny, ma swoje zrozumiałe przyczyny. Imperium wciąż jeszcze jest najdrażliwszym i najtrudniejszym problemem dla Anglika, co dopiero dla tego, kto znajduje się w centrum działania imperialnej maszyny jako jeden z jej trybów. Doniosły jest już sam fakt, że ferment tak głęboko sięgnął. Z drugiej strony nie jest przypadkiem, że wolni od wahań są Essex, Drake, Pickering i cała fala innych podwładnych i przełożonych. Nie jest to jednak stanowczość płynąca z zewnętrznej siły i zdrowia, ale mechaniczne i bierno, chociaż nieustępliwie ciężenie automatów.

Aldridge z drapieżną ironią maluje kulminacyjną scenę w Izbie Gmin, kiedy dla ratowania imperialistycznej polityki mobilizują się torysi, liberalowie i labourzyści. Opowiadają — pierwsza i druga rezerwa burżuazji — wygłasza ogniste mowy na użytek wyborców. Ale wie jakie musi zapasować orzeczenie i w cichości ducha przyklaskuje sentencji. Ów wyrok na MacGregora jest zresztą majstersztykiem. Koła rządowe boją się wizji meżenstwa. Wolą oburzyć swoją ofiarę błotem, by później, pod pretekstem ojcowiskiej łagodności, wyrzucić za burtę społeczną; pozwolić na wyjazd z Anglii. Tak im się przynajmniej zdaje.

Ale czym MacGregora nie jest zmartnowany. On sam znajduje w Iranie pole uczciwej pracy. A w kraju nie zostawi pustego miejsca. Walka toczy się będzie dalej. Bowiem — jak słusznie mówi Katarzyna — „nie są to problemy, które można załatwić jednego dnia, jednym wystąpieniem. To długa, zacięta walka i coraz więcej ludzi bierze w niej udział, choć nie spodziewają się natychmiastowych wyników”.

Powieść jest wysokiej klasy i Aldridge wysuwa się na jedno z czołowych miejsc wśród postępowych pisarzy anglosaskich. Dobrze uczyniono oddając jej książkę w ręce czytelnika polskiego. Szkoda tylko, że tłumaczenie powierzono słownikowi Stanisławskiego, który jako przedmiot martwy i sztywny raz po raz w tej obecny mu pracy czyni z siebie dziwne widowisko. Szkoda też, że nie przybrał do pomocy encyklopedii, gdyż nie przemianwałby wówczas największego rzeźbiarza starożytności na szybkobiegacza.

Julian Stawinski

MARIAN BRANDYS

Wielki czarodziej

Wokoło — gdzie spojrzeć — góry. Urwiste, niedostępne góry albańskie. Blask jesiennego słońca pokrywa je omszałą patyną fioletołą, jak olbrzymim wrzosem. W rzeczywistości są skaliste i nagie. Nie rośnie na nich nic.

W dole huczy zuchwałym gwarem spore miasteczko białoróżowych fabryk. Wszystko jest w nim nowe, świeże i pachnie jeszcze zaprawą murarską. Miasteczko rozpięta się w dolinie i kpi sobie z gór. Klebami czarnych dymów dmucha im prosto w kamienne twarze. Fabrycznym hałasem urąga ich fioletowej ciszy. Nazwy miasteczka nie ma na żadnej z map. Nazywa się po prostu: Kombinat Przemysłu Włókienniczego.

Zagranicznym gościom — to znaczy Kurtowi Rueckmannowi i mnie — wstępnych informacji o Kombinacie Włókienniczym udziela jego dyrektorka Eleni Terdzi. Z mocnej postaci tej czterdziestoletniej kobiety, z grubych rysów jej chłopskiej twarzy i z chmurnych, niebieskich oczu bije ta sama powaga i surowość — co z otaczających gór. Jej słowa i gesty są władcze i oszczędne jak słowa i gesty wodza armii. Nie znam życiorysu Eleni Terdzi i nie śmiałybym nawet pytać o jego szczegóły — niemniej mógłbym przysiąc, że dzisiejsza kierowniczka największych zakładów przemysłowych w Albanii wyrosła w kurnej chacie góralskiej, a pełnych praw człowieka dobiła się w partyzancie. Awans społeczny tej kobiety jest tak samo ogromny i oczywisty, jak awans gospodarczy jej ojczyzny — o którym opowiada.

Na dyrektorskim biurku piętrzą się plany i wykresy. Eleni Terdzi utkwivszy chmurny wzrok gdzieś między naszymi głowami — cytuje cyfry i dane Kombinat. Kurt Rueckmann notuje je skwapliwie. Ja nie notuję gdyż wiem, że te ogromne w skali albańskiej cyfry nie znajdują należytego zrozumienia u czytelników z włókienniczej Łodzi, Pabianic czy Bielska. Natomiast utrwalam sobie w pamięci jedno krótkie zdanie, które mówi więcej od wszystkich cyfr.

— Kombinat Włókienniczy w ciągu najbliższych pięciu lat uберie od stóp do głów cała Albanię.

Przebywam w Albanii już od tygodnia, więc dobrze rozumiem, co to zdanie oznacza. Albania jest krajem ludzi wyjątkowo biednie ubranych. Rzuci się to w oczy wszędzie: w stolicy i na prowincji, na ulicach i w lokalach publicznych, w teatrze i w restauracji. Ubrania artystów, dziennikarzy i uczonych, z którymi spotykam się codziennie w kawiarni hotelu „Daiti” są więc nieznacznie uboższe i bardziej szare od tłumu ulicznego Moskwy, Warszawy, Pragi, Budapesztu i Bukaresztu. Młodzi chłopcy z Leszu, Elbasanu i Berat u demonstrują na swych kolanach i plecach tak kunsztowne mozaiki lat, że równie im wydawałoby tylko w południowych Włoszech i na Sycylii. Od szarzyzny odzieżowej miast i miasteczek jedynym barwnym, jaskrawym akcentem odcina się ręcznie tkany ludowy strój mieszkańców gór.

Uderzając olówkiem w rozłożone na biurku papiery, Eleni Terdzi wprowadza nas w problemy włókiennicze swego kraju.

Do chwili uruchomienia Kombinat Włókienniczego w Albanii przemysłu włókienniczego właściwie nie było. Główną bazę rodzimego włókiennictwa albańskiego stanowiły: prymitywne kołowrotki góralskie i ręczne wrzeciona. One zaspokajały potrzeby wsi. Miasto kupowało za drogie pieniądze „murzynską tandetę”, którą sprowadzali zagraniczni importerzy, obwarowani „klauszulanami największego uprzywilejowania”. Ówczesni władcy Albanii nie potrzebowali fabryk tekstylnych. Król Achmed Zogu ubierał się w Wiedniu. Dla jego siostr sprowadzano tualety z Paryża. W kraju, gdzie na każdym kroku spotyka się stada welnistych owiec, gdzie dojrzała jedwabisty płód bawełny — każdy metr tkaniny welnianej i bawełnianej był zbytkiem, cenionym na wagę złota.

Kombinat Włókienniczy zmienił sytuację tekstylną Albanii w sposób rewolucyjny i od jednego zamachu. Dzieje Kombinat odbijają jak lustro całą historię kraju, który wszedł na drogę socjalistycznego budownictwa, nie posiadając fabryk i szkół technicznych — a obecnie jednym zrywem stara się odrobić wieki zacofania.

Zbudowanie i uruchomienie wielkiego nowoczesnego Kombinat stało się możliwe dzięki pomocy specjalistów dostarczonych przez Związek Radziecki. Eksploatacja Kombinatu w pierwszym okresie kierowali także specjaliści radzieccy wspólnie ze specjalistami polskimi i czecho-

słowackimi. Ale przez ten czas na wyższych uczelniach Moskwy i Leningradu, Warszawy i Wrocławia, Pragi i Brna zdążył się wykształcić pierwszy aktyw albańskiej inteligencji technicznej. Obecnie administracja i eksploatacja wielkich zakładów spoczywa już całkowicie w rękach albańskich, a najmłodsze kadry techniczne dla Kombinat szkoli się we własnym Instytucie Technicznym w Tiranie. Plan jest nieomyślny i realizuje się w tempie piorunującej sztafety.

Tyle dowiadujemy się na wstępie od dyrektorki Eleni Terdzi. Resztę zobaczamy sami w czasie zwiedzania Kombinat. Dyrektorka, niestety, nie może nam towarzyszyć, gdyż pochłaniają ją sprawy, których nie da się odłożyć na później. Żegnaj nas krótkim uśmiechem. Uśmiech na jej surowej twarzy sprawia wrażenie niezwykle. Skupia się wokoło ust, nie sięgając oczu. Oczy Eleni Terdzi po dawnemu pozostają chmurne, skąpione i napięte. Ubranie w ciągu

i najchętniej pyszniłoby się przed nami każdą jego śrubką. Ale przebywali przez dłuższy czas za granicą i wiedzą, że dla Niemca i Polaka kombinat włókienniczy nie jest niczym niezwykłym. Dlatego ze wzruszającym samozaparciem hamują naturalne zapędy i mówią o Kombinacie z taką samą obłudną skromnością, z jaką rodzice rozmawiają ze znajomymi o ukończonym dziecku. Zasadnicza treść tego co mówią daje się wyrazić w jednym zdaniu: „To prawda, że nasz kraj jest ubogi i małe. Ale spojrzcie w jakim tempie się bogacimy. Pomysłcie do czego dojdziemy za kilka lat”.

Kurt Rueckmann — który, poza dziennikarstwem i młynarstwem, zna się także na mechanice — wpada w zachwyt nad nowoczesnością urządzeń Kombinat. Kombinat Włókienniczy — tak samo jak inne kombinaty albańskie — należy do najbardziej nowoczesnych zakładów przemysłowych na świecie. Na tym właśnie polega niezwykle fenomen

gańskimi wybuchami radości wielbi Koczko mądrość maszyny. W jego sposobie reagowania na urządzenia Kombinat jest jakaś pierwotna, udzielająca się siła. Podobnie musiał reagować pierwotny człowiek na widok pierwszego ogniska. Podobnie reagują dzieci, oglądając w kinie porwykający film.

Stopniowo przestajemy słuchać rzeczowych, oszczędnych objaśnień towarzyszących nam inżynierów — i poddajemy się fali entuzjazmu, płynącej od naszego wybuchowego kierowcy. Od niego możemy się więcej nauczyć o Kombinacie Włókienniczym, niż od jakiegokolwiek innego przewodnika.

Zresztą Koczko — nie pytając nikogo o pozwolenie — samorzutnie zagarnia w swe ręce główne przewodnictwo. Nie zna on z pewnością treści umów o wymianie kulturalnej, zawartych między Albanią a Polską i NRD — ale założył sobie najwidoczniej, że główną misją kulturalną Kurta Rueckmanna i moją powinno być rozstawienie na cały świat dziwów Kombinat Włókienniczego. Dlatego też czyni wszystko, aby żaden z tych dziwów nie uszedł naszej uwadze. Co chwila jesteśmy szarpani za rękawy i przyzywani głośniejszymi okrzykami to tu, to tam. Nie wolno nam przejść obok żadnej maszyny, bez dokładnego poznania jej mechanizmu. Nie wolno nam ominąć żadnej fazy długiego procesu przemian, jakim podlega przędza zanim stanie się materia. Ujęci w karby żelaznej dyscypliny przez naszego kierowcę, snujemy się wraz z przędzą przez kilkadziesiąt ogromnych halaśliwych hal fabrycznych. W naszych oczach waciat i welniste włókno podlega sortowaniu, czyszczeniu, czesaniu i zanurzeniu w różnorakich kąpielach. W naszych oczach cieniutki biały wątek wbiega na warsztaty tkackie, przepłata się z osnową, wiąże się w tkaninę. W głowie mam szum i zamęt. Jak długo żyję, żadnej fabryki nie zwiedzałem tak dokładnie. Ale Koczko jest nieustraszone i bezlitosny. Jego zapal rośnie w miarę posuwania się naprzód procesu tkackiego. W halach apetytury nasz przewodnik odgrywa przed nami wielki teatr. Drapuje się kolejno w rozmaite barwne materiały i każe nam podziwiać: oto jak będą ubrane jeszcze w tym roku kobiety albańskie. Kulminacyjny punkt przeżywamy w fabryce sukienniczej. Leżą tu na stołach wilgotne postawy świeżo wyprodukowanego sukna. Towarzyszący nam inżynierowie wyjaśniają z zażenowaniem, że w tej dziedzinie produkcji Kombinat stawia dopiero pierwsze kroki. Sukno jest liche i rzadkie. Ale spojrzcie z jakim uśmiechem gładzi te mokre sukiennicze płyty nasz kierowca Koczko. Z pewnością żaden król tak się nie cieszył ze swoich zlotogłowiów. Więc do diabła z naszymi zbławozanymi oczami i wielkimi wymaganiami. Koczko ma rację: to sukno jest najpiękniejsze w świecie.

W którejś z ostatnich hal Kombinat wyzwała nas spod despotycznej opieki Koczko dyrektorka Eleni Terdzi. Ponowne spotkanie z dyrektorką nie jest dziełem przypadku. Kierowniczka największych zakładów przemysłowych w Albanii odwręca się od swoich ważnych spraw jedynie po to, aby mocnym końcowym akcentem uzupełnić na-

rałki gra wszystkich barwami kwiatów górskich i blyszczą od metalowych ozdób. Twarzą jej nie mogę dojrzeć, gdyż stoi odwrócona tyłem. Widzę tylko ogromną grzywę czarnych włosów, opadających luźno na wzorzysty serdak.

Eleni Terdzi krótkim spojrzeniem kontroluje wywołane wrażenie i pociąga nas lekko za sobą. Układanie rosyjskich zdań przychodzi jej z trudem.

— Przed opuszczeniem Kombinat musicie poznać historię tej kobiety. To wam wiele powie o albańskiej drodze do socjalizmu.

Zbliżyliśmy się do warsztatu. Egzotyczna tkaczka jest tak pochłonięta swoją robotą, że nie zauważa naszego podejścia. Dopiero, kiedy dyrektorka dotyka jej ramienia — odwraca się gwałtownie. Widzę suchą, orłą twarz dojrzałej już kobiety. W jej zaskoczonych oczach odbija się popłoch graniczący z przestachem. Na widok nieznajomych mężczyzn pośpiesznie pochyla głowę i zgietym ramieniem zasłania przed naszym wzrokiem twarz.

Dopiero nalegania ze strony dyrektorki przewyciężają jej nieśmiałość. Z widocznym ociąganiem podaje nam rękę. Nazywa się Poliksena Spahia.

Poliksena Spahia, góralka z małej wioski w samym sercu fioletowych gór, przed rokiem zeszała do doliny i zgłosiła się do pracy w Kombinacie. Miała dobre chęci i mocne zrzeczne palce, wyćwiczone w długoletnim obcowaniu z góralskim krosnem i kołowrotkiem. Ale nie wytrzymała naporu nowego życia. Po dwóch tygodniach dobrej pracy załamała się i uciekla z powrotem w góry. Po pewnym czasie zgłosiła się znowu do Kombinat. Przyjęto ją do pracy powtórnie. Wkrótce po tym znowu uciekla. Wracała i uciekała jeszcze dwa razy. Chciała pracować, nie miała żadnych skłonności do wóbeczostwa czy awanturnictwa — a mimo to przez całe miesiące mijała się w jakimś straszliwym niepokoju i niezdecydowaniu między starym a nowym życiem. Stare życie ją odychało, ale nie umiała z nim zerwać — nowe ją pociągało, ale odczuwała przed nim lęk. Dopiero przed pięciu miesiącami powróciła do Kombinat po raz ostatni, aby już nigdy stąd nie uciec. Czy jest zadowolona z nowego życia? Tak: nowe życie jest dobre. Coraz lepiej pracuje i lubi swą pracę. Jada tu cukr i mięso, których nigdy nie ogładała w rodzinnej wiosce. Uczą ją czytać i pisać. Korzysta z tych samych praw co mężczyźni. Mimo to, jeszcze ciągle jest jej bardzo trudno. Tęskni do gór. Nie umie zwalczyć nieśmiałości w stosunkach z ludźmi. Nie może się zdobyć na zerwanie starego stroju, który wyróżnia ją z otoczenia i naraża na kpiny młodszych. Ale do wioski już nie wróci. Kto zakosztował nowego życia — starym już żyć nie może.

Taka jest historia tkaczki Polikseny Spahia, opowiedziana nam przez dyrektorkę Kombinat Eleni Terdzi.

Oto stoją obok siebie dwie kobiety albańskie — dwie odróżne tego samego pnia. Eleni Terdzi, dyrektorka wielkiego Kombinat — wspinała, mocna kobieta, świadoma swych celów i zadań. I Poliksena Spahia, góralka z małej wioski — zakrywająca twarz przed spojrzeniami obcych, miotana wewnętrzny sprzecznościami, nie umiejąca jeszcze ciągle przywyknąć do nowego życia.

*

Kombinat Włókienniczy opuszcza nas z zamyśleniem. Fiolety speliły już z gór. Osnuwa je mglista, posepna szarość. W halach fabrycznych zapalają się pierwsze światła.

Tuż za bramą Kombinat mijamy niewielką karawanę góralską, jakich pełno na wszystkich drogach Albanii. Na małym osiołku, obłożonym wiązkami drzewa, siedzi zwały chłop w białym fectie i z fają w zębach. Za osłem ze spuszczonej głowami idą dwie kobiety, odziane w strzępy barwnych samodziałów. Młodsza z nich dźwiga na plecach ciężką drewnianą kółkę z dzieckiem.

Wschodni egzotyzm tej karawany, jakby wyciętej z „Bajek Tysiąca i Jednej Nocy”, mógłby zachwycić oczy niejednego malarza europejskiego. Ale nasz kierowca Koczko, mijając ją, odwraca się z niechęcią. Mnie widok karawany wtęcza w zadumę. Myślę o wielkim czarodzieju, przygotowującym zakończenie dla smutnej wschodniej baśni, której ta karawana jest ilustracją. O potężnym czarodzieju, co pochylił się nad doliną wśród gór, aby zmienić stroje, obyczaje i myśli jej mieszkańców. Jak to zwykły mówić towarzyszy Kurt Rueckmann z „Tae-gliche Rundschau”? Aha, już wiem: „Der grosse Zauberer Sozialismus”.

Marian Brandys

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

Debiut klasyka

Żegnaliśmy Pudowkina latem ubiegłego roku. Była to śmierć człowieka. Ale na przekór tej śmierci, o niewiele wyprzedzając jej datę powstał film, który przeczył śmierci artysty. Film prawie debiutancki, w którym kłęk nowego przeżył się przez grubą warstwę tego, co u Pudowkina było nie jego własne i co trzeba było odrzucić. Film nazywa się „Powrót Wasyla Bortnikowa”, nie wiadomo dlaczego, chyba z zamiłowaniem do złych tytułów, przethumaczony w polskiej wersji na „Odzyskane szczęście”.

Jest rzeczą znaną, że twórczość każdego artysty związana jest nie tylko z treściami, jakie wyraża, ale i z formą, jaką się posługuje.

W filmie sprawa związania artysty z daną określoną formą jest szczególnie wyraźna. Kim był np. René Clair w okresie filmu niemego? Bardzo podręcznym, nie wyróżniającym się niczym reżyserem. Dopiero film dźwiękowy stał się jego językiem, wydał „Pod dachami Paryża”, „Milion” i „14 lipca”. Kim był Chaplin w okresie „wielkiego niemu”? Klasykiem, zjawiskiem ogromnym, twórcą nie tylko nowego stylu komediowego, ale nowej filozofii sztuki, omalże nowej moralności. W kinie dźwiękowym, którego się bał zresztą i które zwalczał, przez czas jakiś trwał jeszcze na poziomie swoich największych osiągnięć z okresu „Gorączki złota”, ale przecież najlepsze zostawił już za sobą, w kinie niemy. Poza Eisensteinem, którego niemy „Piotimkin” jest równym arcydziełem co dźwiękowy „Aleksander Newski” każdy artysta kina przeżył przybycie dźwięku jako swój początek albo koniec.

Tak przeżył go również Pudowkin. Pudowkina z okresu niemego można zamknąć w dwóch latach: 1926 — 1928 i w trzech filmach: „Matka”, „Koniec Sankt-Petersburga” i „Burza nad Azją”.

W tych filmach zawarł się Pudowkin — nowator i klasyk kina niemego. W latach następnych Pudowkin szukał. Był to lata poszukiwań niekiedy udanych jak w „Suworowie”, niekiedy zaś fatalnych pomyłek, kiedy wydawało mu się, że można dramaturgię ludzkich losów zastąpić dramaturgią wymalazku z dziedziny awiacji, że można się obejść bez żywego człowieka. I wreszcie, na końcu tych poszukiwań, odnaleziony wreszcie kierunek, ponownie, nieśmiały jeszcze debiut, tak jak nieśmiały debiutami były dlań kiedyś „Gorączka szachowa” czy „Mechanizm mózgu” — „Powrót Wasyla Bortnikowa”.

Debiuty Pudowkina miały to do siebie, że wyznaczały nie tylko jego własną drogę, ale i drogę filmu radzieckiego. Tak było z „Matką”. Tak jest z „Bortnikowem”. W latach trzydziestych powstawały filmy o walce rewolucyjnej, o ciężkich zmaganiach z urogami. Pełnia oblicza bohatera zamykała się w alternatywie — zginie lub zwycięży w tej walce. Po wojnie na wielu filmach zaważyła teoria, że we wschodzącym społeczeństwie ludzie nie przegrywają, nie ma przegranych. Bohaterowie w tych filmach zaczęli żyć na niby, zmagali się na niby, ryzykowali, ale żaden z nich nie mógł przegrać. Na fortepianie sztuki filmowej często brakło tonów minorowych. Te tony odnalazł Pudowkin w swoim ostatnim filmie. Starł się zagrać na całym instrumencie, rozpiąć swego bohatera między prawdziwą wygraną a prawdziwą przegraną, rozumiejąc, że tylko taka może być rozpiętość skrzydeł nowego człowieka. Odnalezienie tej prawdy przez Pudowkina jest odkryciem nie mniej ważnym, jak odkrycie patosu zwyciężania w „Matce”.

Krzysztof T. Toeplitz

Z Sekcji Twórczych ZLP

8-go marca br. o godz. 16 odbędzie się w Sekcji Prozy warszawskiego oddziału ZLP dyskusja o książce Janiny Broniewskiej: „Z notatnika korespondenta”.

Konkurs literacki

Główny Społeczny Komitet Przeciwalcoholowy ogłasza konkurs literacki na: 1) opowiadanie i 2) sztukę o tematyce związanej z walką z pijanizmem. W konkursie może włączyć udział każdy. Objętość prac: opowiadanie — do 5 arkuszy autorskich, sztuka — do 3 arkuszy autorskich. Przy opracowywaniu sztuki należy uwzględnić wymogi sceny świetlonej. Przewidziane są następujące nagrody w każdym dziale: I nagroda 3.000 zł, dwie nagrody po 2.000 zł, trzy nagrody po 1.000 zł, pięć wyróżnień po 500 zł. Termin nadsyłania prac 1.VI.1954 r. Prace należy nadsyłać wraz z załączoną kopertą opatrzoną godłem na adres: Główny Społeczny Komitet Przeciwalcoholowy przy CRZZ, Warszawa, ul. Kopernika 36/40.

Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi do dnia 15.VII.1954 r.

Redaguje Zespół Adres redakcji Warszawa, ul. Wiejska 12 Telefony Sekretariat 886-11. 814-41 w 75 800-81 w 4 — Red naczelny 879-38 Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 800 21 Wydaje RSW „Prasa” Kolportaż P P K „Ruch” Oddz w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804 20 dr. 25 Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.60, kwartalnie zł 13.80, półrocznie zł 27.60, rocznie zł 55.20 Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze więcej Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa” Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-111-5589, tel. 8 23-09 Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Zakłady Drukarskie i Włókiennicze RSW „Prasa”, Warszawa, Marszałkowska 8/5.

5-B-11485